PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17

Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo...

O czystość idei katolickiej.

Minęły te czasy, kiedy pod panowaniem prądów pozytywistycznych religja katolicka i Kościół znajdowały się na szarym końcu sentymentów i zainteresowań społeczeństwa, kiedy przeciętny inteligent wstydził się wogóle przyznać, że jest katolikiem, a poruszanie zagadnień religijnych w miejscach publicznych uważałby za grubą nieprzyzwoitość.

Trudno wprawdzie twierdzić z całą pewnością, że poziom indywidualnego życia religijnego podniósł się w sposób zdecydowany w naszym społeczeństwie. Przeciwko takiemu twierdzeniu możnaby wytoczyć cały szereg argumentów, jak upadek poziomu życia moralnego etc. Jedno wszakże powiedzieć można z całą pewnością. Oto przenikanie religji, a przynajmniej zasad i haseł religijnych na teren życia społecznego, publicznego poczyniło w ostatnim dziesięcioleciu ogromne postępy. Oczywiście nie zamykamy oczu na fakt, że równocześnie dokonuje się również zjawisko przeciwne: tężenie i konsolidowanie się obozu wyraźnie antyreligijnego. Można jednak powiedzieć, że zasady i hasła religijne zyskują coraz większy poklask w opinji publicznej, coraz mocniej stabilizują się w niej i uzyskują prawo obywatelstwa.

Duża w tem zasługa organizacji i działaczy katolicko-społecznych. Nie możemy zapominać, że takie Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich w okresie swojej intensywnej działalności, a potem także Chrześcijańskie Związki Zawodowe w dużej mierze wywalczyły prawo obywatelstwa dla idei katolickiej wśród mas robotniczych. I jeżeli obecnie można iść śmiało do tych mas z programem chrześcijańskim, wyraźnie przeciwstawiać się zgubnym doktrynom i hasłom socjal-komunistycznym i być przez nie zrozumianym — to zasługa kilkunastoletniej pracy wyżej wymienionych organizacyj, które dzień za dniem zaszczepiały w te masy ideje, zaczerpnięte z Encykliki Rerum Novarum i innych enuncjacji Kościoła

A rola, jaką odegrało „Odrodzenie" wsród inteligencji akademickiej. Przed 10 laty nie było na tym terenie żadnej organizacji katolickiej, roszczącej sobie pretensje do wysuwania haseł społecznych i organizowania młodej inteligencji pod sztandarami swojej ideologji. Dziś poszczególne organizacje, pracujące wśród młodej inteligencji akademickiej ubiegają się nieraz o zaszczyt reprezentowania idei katolickiej. Nawet młodzież nacjonalistyczna, idąc za ogólnym prądem i pragnąc utrzymać swoje wpływy wśród akademików, zmienia i koryguje raz poraz swoje deklaracje ideowe, pragnąc pogodzić ich zasadnicze tezy z zasadami karolickimi. Duża to zasługa katolickiego ruchu Odrodzenia i wielka satysfakcja dla działaczy i członków tej organizacji.

Tak więc w ciągu ostatniego 10-lecia religja przestała być u nas zagadnieniem tylko prywatnym, kwestją aktualną w kościele, w zakrystji i na zebraniu bractwa parafjalnego. Promienie jej ożywcze zaczęły przenikać w coraz szersze warstwy społeczeństwa. Coraz więcej ludzi dochodzi do przekonania, że tylko program katolicki zdoła zreformować i postawić na właściwej płaszczyźnie życie społeczne, gospodarcze, a nawet polityczne kraju, że religja jest zagadnieniem par exellence publicznym, w którym zainteresowany jest cały naród polski, a nietylko poszczególne jednostki.

Jest to niewątpliwie ewolucja bardzo dodatnia. Dzięki niej będzie rzeczą możliwą, a przynajmniej bardziej ułatwioną wprowadzenie w życie proklamowanych przez Kościół zasad „Akcji

Katolickiej" i wytworzenie w Polsce jedności i współdziałania wszystkich katolików w sprawach katolickich.

* * *

Czy nie jest objawem bardzo charakterystycznym, że pewni działacze, którzy jeszcze nie tak dawno stali całkowicie i bez zastrzeżeń na gruncie poglądów Maurrasa i Valois, po potępieniu przez Papieża „L'Action Francaise" ogłosili szereg deklaracji, mających stwierdzić ich lojalność wobec naszej religji, albo, że wybitny przywódca wojującego pozytywizmu z przed laty 20, nie zwalcza już teraz zupełnie religji, pisując piękne artykuły na łamach narodowego miesięcznika, albo, że, bardzo wpływowe w naszym państwie sfery, zbliżone raczej swoim sposobem myślenia do materjalistycznych koncepcji liberalizmu, kokietują zupełnie wyraźnie Kościół, nawet wówczas, gdy im się zdarza prowadzić politykę antykościelną.

Są to objawy bardzo znamienne dla czasów dzisiejszych. Nie nazwalibyśmy ich jednak dodatnimi bez żadnych zastrzeżeń. Niewątpliwie medal ma dwie strony...

Chodzi nam o czystość idei katolickiej, o to, aby ona nie została zamącona żadnymi nieszlachetnymi domieszkami, czy to pogańskiego nacjonalizmu, czy liberalizmu, aby nikt nie mógł traktować religji, jako środka do osiągnięcia celów, nic, albo bardzo mało mających wspólnego z tą religją.

Musimy bardzo o tę czystość dbać i walczyć o nią na każdym kroku, wszelkie zaś próby jej zamącenia wytykać i krytykować z całą energją. Obowiązani jesteśmy to czynić, aby nie zmarnować tych walorów, które katolicyzm w Polsce zdołał osiągnąć w ostatnim dziesięcioleciu dzięki wysiłkowi ludzi dobrej woli.

Katolicyzm w Polsce czeka ostra i zdecydowana walka o zasadę: „instaurare omnia in Christo", o to, jakie zasady mają panować w rodzinie, szkole i innych instytucjach życia publicznego. Mobilizując się do tej walki, musimy pamiętać, że osiągniemy zwycięstwo tylko wówczas, gdy szeregi katolickie będą armją karną i wyćwiczoną, jednolitą co do celów, zadań i metod.

Lepiej nie robić sobie zbyt wielkich złudzeń i nadziei co do tych, którzy wahają się stale między liberalizmem a katolicyzmem, albo między „etyką narodową" a etyką katolicką, ani-

żeli potem, tworząc z nimi pospolite ruszenie, narazić się na ich odstępstwo w chwili decydującej.

Walka o charakter publiczny katolicyzmu dała jak dotąd pomyślne rezultaty. Nie zaprzestając jej, musimy większą, niż dotychczas uwagę zwrócić na konieczność utrzymania czystości idei katolickiej w Polsce. *St. K-ski.*

Jak Pan Jezus wyglądał?

Nieraz czytać można opisy Jego oblicza, postawy, rysów i zewnętrznego charakteru. Bądź to na podstawie wizyj, snów, widzeń, zachwytów, bądź też tradycji chrześcijańskiego malarstwa; bądź w inny jakikolwiek sposób. Trafia się, że pisma podają czasem rzekomo odpisy jakichś starodawnych jakoby autentycznych źródeł rzymskich, w których ziemski wygląd Pana Jezusa byłby opisany dokładnie.

Miesięcznik „La Palestine", wychodzący w Jerozolimie, jako organ łacińskiego patryjarchatu i Dzieła Zachowania Wiary w Ziemi Świętej, organ również Rycerskiego Zakonu Kawalerów Świętego Grobu Pańskiego tak samo się tą sprawą zaiął niezbyt dawno temu.

I oto, jakie nasamprzód mądre wyraża przestrogi, do których i my pewne myśli dodajemy.

Portret, podobiznę Jezusa, mówią tam, spisał nam Paweł św., gdy wołał w słowach pełnych ognia i świętego zapału: „Dilexit me et tradidit se ipsum pro me: ukochał mnie i wydał się sam za mnie na śmierć". Mamy tu obraz miłości Jezusowej, lecz o rysach jego nic, a jednak św. Paweł spotkał się z Jezusem Zmartwychwstałym na drodze do Damaszku... i zaniewidział od blasku. Słyszał głos jego tylko: „Szawle, Szawle, czemuż mnie prześladujusz?" „*Mnie*" — to jest Kościół. Kto więc Kościół ogląda, Jezusa ogląda. Bo czyż nie powiedział On Apostołom: „Kto Was słucha, M n i e słucha? A Kościół oglądać można tylko duchem w dziejach jego i w łaskach jego, w świętości jego i w nauce jego, w liturgji jego naprzykład i to w bardzo doskonałym stopniu, w liturgji wschodniej i zachodniej.

Święty Paweł był też zachwycony aż do trzeciego nieba, Może widział tam i ludzkość Jezusa? Lecz sam pisze: „Nie godzi się o tem mówić. Ani ucho nie słyszało, ani oko nie widziało... co Bóg gotuje wybranym swoim".

Już w IV-tym wieku, gdy zabrzmiały hymny wolności Kościoła, gdy tłumnie rozrastały się świątynie i nawracali się poganie rzymscy—co swych bożków mogli oglądać, może byli i tacy co czuli i chcieli, jak Apostoł Filip. Filip zwrócił się do Pana Jezusa i rzekł Mu: „Panie, pokaż nam Ojca i to nam wystarczy". A Jezus na to: „Kto Mnie ogląda Filipie i Ojca mego ogląda". Tak też i oni nowi chrześcijanie mówili może: „Pokażcie nam Jezusa, prawdziwy obraz rysów jego świętych, a ucieszymy się, bo wszak Cesarza znamy z posągów współczesnych i wszystkich widzieliśmy imperatorów, którym się kłanialiśmy, a podobizny ich pozostaną na długo w marmurze lub bronzie. A gdzież portret Jezusa? Wszak Chrystus nasz nie tak dawno chodził po ziemi".

Na to odpowiada biskup z Cezarei Palestyńskiej, Euzebjusz, ojciec historji kościelnej, zwracając się do siostry Wielkiego Konstantyna, która go nagabywała o podobiznę Chrystusową: „Musimy się zadowolnić tem, co powiedział św. Paweł, że nie znamy już Chrystusa wedle ciała". To znaczy, że duchem Go tylko znamy i w duchu poznawać musimy. (List włączony do aktów drugiego Nicejskiego Soboru).

Jak poznać Chrystusa duchem? Przez Wiarę w to, czego nas Apostołowie przez Kościół uczą, bo oto co mówi Pismo święte: „Na początku przed wszelkiem stworzeniem i zanim cośkolwiek istniało, było Słowo i Słowo było z Bogiem i Słowo Bogiem było... i Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami i widzieliśmy chwałę Jego, chwałę jakoby Syna Jedynego, który od Ojca przyszedł, pełnego łaski i prawdy". (Apostoł św. Jan). A zatem Przedwieczny Bóg On i człowiek w czasie... Jakże to wyobrazić dla oczu? Tylko Wiara to poznaje. A św. Paweł tak mówi: „Chrystus Jezus, równy Bogu, tejże samej co i On natury, stał się podobny ludziom, wziął (na się) naturę naszą i ludzkości naszej istotę". I znów też same tajemnice wiary: dwie Chrystusowe natury. Jakiż pędzel, jakie opisy mogłyby to wyrazić? Czytamy zaś u proroka Barucha „Był widzian na ziemi i żył pośród ludzi i z ni-

mi". Tak też i historja mówi, bo coś mówić o Jezusie musi, lecz jakże Go opisze?

Czyż więc niema świadectw współczesnych historyków starożytności, którzyby nam odpis rysopisu Chrystusowego zostawili?

Oto Jozef Flawjusz, Żydowin, co nam dzieje oblężenia i zburzenia Jerozolimy przez Rzymian zostawił, a więc spełnienie się dosłowne tego proroctwa Jezusowego, które Jemu samemu łzy z oczu wyciskało. Zostawił nam również i dzieło p. t. „Starożytności Żydowskie". A o Jezusie cóż mówi? „W tym czasie żył Jezus, człowiek mądry, jeśli tylko wypada nam nazwać go człowiekiem. Gdyż uczynił on rzeczy zadziwiające i był mistrzem tych, którzy chętnie i z radością prawdę przyjmują". Ta zwięzła notatka Flawjusza Józefa wywołała niezliczone polemiki. „Wtręt*) chrześcijan", mówiono, „tekst zepsuty, nieautentyczny", a zatem wtręt zrobiony ręką chrześcijanina w czasach, kiedy przepisywano książki odręcznie? „Niema tej notatki w takich, a takich to starożytnych odpisach dodawano jeszcze". I tak dalej. Lecz oto krytyka historyczna, coraz ściślejsza, coraz częściej niespodzianki pierwotnej krytyce sprawia. Kilka lat temu zaledwie żyd niemiecki, uczony, wydał studjum o tej notatce, gdzie stara się dowieść, że jest ona autentyczną, prawdziwie ręką samego Józefa pisaną. Lecz miałaby stanowić późniejszy ostrożny dodatek Józefa jako wygnańca z Palestyny, człowieka o charakterze słabym i zmiennym, a chciwym poparcia i sławy. Gdy jedni mu jej odmawiali, szedł do innych. Odepchnięty od Żydów, starał się przypodobać się i Grekom. Trafił również i w chrześcijańskie środowiska pierwszego wieku (w którym żył sam) i dla nich ten frazes ostrożny w nowem wydaniu swej pracy dopisał. Tak mówi nowy komentator. To jednak tylko teorja dotychczas. Faktem jest, że mniemanie o autentyczności słynnego ustępu Flawiusza powraca znów do aktualności naukowej. **) Bądź jednak co bądź, rysopisu Jezusowego domniemany Flawiusz nie podaje.

A Tacyt co mówi? On co Neronowe prześladowanie streścił, co pierwszy sprawę chrześcijan do powszechnego dzie-

*) Wtręt — dodatek późnieiszy do tekstu dzieła.

**) Patrz o tem Schweizerische Kirchenzeitung, Lucerna 1923.

jopisarstwa wciągnął? „Sprawca Chrześcijańskiego imienia, Chrystus, wycierpiał mękę za panowania Tyberjusza z rozkazu Poncjusza Piłata". To są jego słowa. I nic znów o rysach.

W końcu pierwszego wieku, Plinjusz Młodszy, elegancki publicysta rzymskiego świata, został prokonsulem Bitynji w Azji Mniejszej i tam sprawy chrześcijan o jego oparły się niejednokrotnie trybunał. Pisze więc do cesarza Trajana „Sprawiedliwego", aby mu rzecz wyłożyć i aby rady, względnie rozkazu zasięgnąć. „Chrześcijanie (ci) powiada, w tym słynnym piśmie, które on sam w wydaniu swych listów umieścił, zgromadzają się w pewne dnie, aby śpiewać wspólny hymn ku czci Chrystusa, jako do Boga jakiegoś". I znów nic o osobie Syna Bożego. Tyle najdawniejsze pomniki.

Lecz przechowała się w pismach Świętego Jana Damasceńskiego tradycja opisująca wygląd Chrystusa. Święty Doktór Kościoła żył na Wschodzie w VII-ym wieku i oto co powiada, *) dając nam opis któregoś ze starych obrazów przedstawiających Pana Jezusa.

„Na pośrodku głowy, pisze on, której proporcja i rozległość prawdziwie są wspaniałe, rozchodzi się uwłosienie brunatne, prawie że czarne, koloru dojrzałych orzechów leśnych (na Wschodzie). Rozdzielone pośrodku, spada ono na prawo i na lewo, skrywając uszy, aż do brody, gdzie się z brodą łączy. Brwi są czarne, oczy żywe i przejmujące, pełne jakiejś światłości. Wpijają się one z dziwną mieszaniną słodyczy i wielkiej powagi. Nos prosty i długi, niezbyt jest otwarty na nozdrzach. Wierzchnia warga pokryta jest lekkim wąsem, który nie schodzi poniżej jej, a pozwala dostrzec wdzięku i harmonji pełen zarys ust samych".

Jest to więc tradycyjny, mniejwięcej, typ oddawany zwykle w malarstwie chrześcijańskiem, z mniejszą lub większą udatnością. Lecz istnieje jeszcze jeden dokument tak zw. list Publiusza Lentulusa, o którym wiele pisano.

„Jest to, powiada on, rzekomo o Chrystusie Panu człowiek o postaci wysokiej, szlachetnego wdzięku, o twarzy czcigodnej; ktokolwiek nań patrzy może Go zarazem kochać i się

*) Dodajmy że Euzabjasz był wrogiem świętych obrazów, Św. Damascen zaś ich obrońcą.

Go bać. Włosy Jego spadają w lokach kędzierzawych o bardzo ciemnym kolorze i świecących; spływają one wolno na ramiona i są rozdzielone na pośrodku głowy według zwyczaju Nazareńczyków. Czoło jego jest przestrzenne i bardzo jasne. Twarz jego bez bruzd i plam, jest wdzięczną i mało ciemną. Nos jego i usta są bardzo regularne. Broda jego jest silna i rozdzielona na dwoje. Oczy jego są szaro-błękitne i jasne. Gdy się on gniewa jest straszny; gdy nawołuje jest On słodki i miły; wesoły choć powagę zachowuje. Nigdy nie widziano, by się śmiał, lecz widziano go często, jak płakał. Trzyma się bardzo prosto. Ręce jego i dłonie miłe są ku wejrzeniu. Mówi mało i to ze skromnością. Jest on największym z synów ludzkich".

Przytaczając te ustępy, miesięcznik „La Palestine". dodaje: „Być może że autorowie Velum Abgarowego (Króla Edessy), artyści możaik Rawenackich i autorzy Listów przypisanych Publiuszowi Lentulusowi i Św. Janowi Damasceńskiemu natchnienie swe czerpali z wizerunków pańskich, które w II-gim i III-cim wieku pojawiają się wśród malowideł katakumbowych. — Być może, że jest to typ idealny, jaki łącząc stopę możliwą piękna osiągalnego ze znajomością słodyczy Chrystusowej, urobili sobie dawni Chrześcijanie, podobnie jak Grecy swój typ piękna cielesnego ludzkiej postaci i kształtów ludzkich, choć inny zupełnie, też sobie byli wypracowali. Tak więc, raz jeszcze, powracając do pierwszych zdań naszych, wyczucie z wiary i obcowanie z łaską Chrystusową stworzyło. widomy typ Pana Jezusa, gotowy dla pędzla chrześcijańskiego.

Starochrześcijańskie malowidła katakumbowe nie zawsze mają ustaloną datę. Przesuwa się ona często jeszcze według toku badań i zdobywania nowych probierzy historycznych. Pisał o tem profesor teologicznego wydziału Uniwersytetu Warszawskiego, Szwajcar, ks. Paweł Stygier, młody a słynny już archeolog.

W katakumbach Chrystus Pan był najpierw wyobrażany symbolicznie, jako Orfeusz, łagodzący zwierzęta swą lutnią, lub Apollin, dawca natchnienia. Oba te typy łączyły się, poprzez baśnie mitologiczne greckie, z wyobrażeniem chrześcijańskich wierzeń co do życia przyszłego, bo wszak Orfeusz i Apollo

byli też przewodnikami dusz i dawcami pozagrobowej szczęśliwości, wedle mitów i pewnych greckich religji wtajemniczonych. A Chrześcijanie brali te wyobrażenia i na swe przerabiali symbole, co miało tę zaletę, że wszystko dla poganina, któryby wszedł do katakumb, pozostawałoby tajne i zasłonięte. Wtedy więc Chrystus występował bez brody, jako młodzieniec, lub w postaci pasterza. Było to jakby zarazem wysłowieniem Bóstwa Chrystusowego, tej wiecznej młodości, tego wieczystego, nigdy nieprzemijającego, nieumniejszającego się życia, które i dla nas stanęło w Nim otworem. „Z pełności jego wszyscyśmy wzięli" wedle słów natchnionych.

A te wody życia wiecznego, o których marzyli starożytni pod mianem „źródła odmładzającego", Chrystus Pan wskazał sam skąd one płyną mówiąc: „Ktoby jadł z chleba tego, którego Ja dam, nie umrze na wieki, a ktoby pił z wody którą mu wskażę nie będzie już pragnął". Bo tryskać ona w nim będzie źródłem „aż do życia wiecznego".

To też i Leonardo da Vinci, gdy malował Chrystusa przy Ostatniej Wieczerzy, namalował Go pod postacią młodzieńca bez brody. Bo tam łamał się chleb życia, oraz ta tajemnicza zawsze żywa ryba, o której pisze w swym nagrobku starochrześcijanin Aberciusz, lub o której wspomina znana płyta grobowa z Autun we Francji. Ryba, którą jako wzrokowi podpadający ideogram Chrystusa wzięty z greckiej mowy, malowali chrześcijanie dawnego Rzymu w swych katakumbach, jak o tem pamiętamy z „Quo Vadis" lub z „Fabjoli".

Wizerunek Chrystusa Pana z „Ostatniei wieczerzy" Leonarda da Vinci przypomina nam raczej typ malowideł przedstawiających Świętego Jana Apostoła, umiłowanego ucznia Jezusa. Tak jest, głębokie ma to znaczenie. Bo wszak Uczeń ten spoczywał na piersi Chrystusowej; wszak on najgłębiej, najwybitniej oddał w swej Ewangelji, i w swej Apokalipsie, tajniki Boskiej Liturgji, to jest Eucharystji; Chrystus wówczas bierze naszą postać, a my jego „abyśmy byli jedno, jak Ojciec i On jedno są". I ten jest portret Pana Jezusa, *dusza uświęcona*. „My Jego spożywamy, mawiali Ojcowie greccy, a On nas w siebie obraca". Gdy chcemy więc wiedzieć jak Pan Jezus wyglądał, szukajmy świętego. W jego rysach odnajdziemy błysk Jezusowej światłości. Szukajmy też w nas.

* * *

Pismo „La Palestine" rzecz swą kończy w ten sposób. Nadarmo szukano wizerunków oblicza Chrystusowego. Stało się tak zapewne nie bez głębszej, tajemniczej racji chcianej od Boga. Lecz wiemy, że człowieczeństwo Jezusowe, jest arcydziełem rąk Boskich. Nie sposób wystawić sobie coś bardziej doskonałego, coś bardziej harmonijnego. Oddaje ono w naturze stworzonej wszystko, co tylko można oddać z nieskończonej doskonałości Stwórcy. Dusza Jezusa, to cud światłości, mądrości, wiedzy i świętości. Przewyższa ona w sposób dla wszystkich nieogarniony najgłębsze umysły i wszystkie dusze najświętsze*). Ciało Jezusowe, to świątynia, wszechmiernie dobrana do tego ducha, który ją zamieszkuje. Posiada wszystko co potrzeba, by być instrumentem, narzędziem, niesłychanie, cudownie wprost wiernym, dla wielkiej duszy, która niem porusza. Proporcje ciała tego, powiemy również są niesłychanie piękne, rysy i kształty o idealnej czystości, skąd wypływa całokształt pełen mocy i wdzięku, pełen szlachetności i piękna boskiego. Psalm 44 mówi, zwracając się proroczo do Chrystusa: „Tyś jest najpiękniejszem z dzieci człowieczych. Idź, postępuj ze zwycięstwa w zwycięstwo i panuj". A dusze chrześcijańskie, oraz oblubienica z Pieśni nad Pieśniami wołają ku Niemu: „Mój Ukochany wybrany jest wśród dziesięciu tysięcy, cała osoba Jego pełna jest wdzięczności". Gdy chcemy więc czasem wiedzieć jak Pan Jezus wyglądał, zamknijmy oczy a podnieśmy serce. Zobaczymy go przy sądzie! Lecz możemy w każdej rzeczy odbicie Jego piękna widzieć jeśli czystą jest dusza nasza.

Od czasu rozprzestrzenienia się kultu Św. Teresy od Dzieciątka Jezus, rozpowszechniły się również wizerunki umęczonego oblicza Chrystusowego, wykonane przez jej siostrę. Stanowią one studjum zrobione wedle słynnego Całunu z Turynu, o którym chyba kiedyindziej, a który wedle pewnych

*) Ostatnio wyraził się bardzo trafnie Ojciec św. Pius XI, mówiąc o „nieskończonej genjalności Boskiego Mistrza" w mowie wygłoszonej o wiel. S. Teresie Małgorzacie od Najsł. Serca Jezusowego. (Patrz „Głos Karmelu" z czerwca 1929 r. str. 176).

badań nawet fotochemicznych byłby mógł być uważany za odbicie ciała Chrystusowego, gdyby historycy się temu nie sprzeciwiali.

* * *

Dodam jeszcze, że istnieje we wschodniej katolickiej liturgji Święto przeniesienia z Edessy do Konstantynopola „nie ludzką ręką malowanego Obrazu Pana naszego Jezusa Chrystusa, inaczej Świetą Chustą zwanego- w roku 908 za panowania Romana Porfirogenety, cesarza. I tegoż dnia świętego męczennika Djomeda..." jak się„ *Miesíacosłow*" słowiański, rodzaj martyrologium, wyraża. Święto przypada po Wniebowzięciu Najśw Panny, a interesować nas może tutaj przez jakieś utęsknienie dawnych Chrześcijan za ziemskiem Obliczem Pana Jezusa, któremu wyraz daje i przez głębokie hymny modlitewne, tak zwane *„tropary"* i *„kondaki"*, które Kościół na to święto śpiewa i które z okazji cudotwórczego obrazu skłaniają nas do szukania prawdziwego Oblicza Chrystusowego w nas samych, w tajemnicach wiary głęboko przeżytych. Oto tropar.:

„Przeczystemu, najświętszemu Twojemu obrazowi kłaniamy się, o Boże dobry, prosząc o przebaczenie za sprzeniewierzenia nasze, o Chryste Boże. Albowiem Tyś z własnej woli raczył miłościwie w ciele wzejść na krzyż, aby wyzwolić nas którycheś stworzył od niewolnictwa wrażego. To też dziękczynienie śpiewamy Tobie: Tyś wszystko radością napełnił, któryś przyszedł świat zbawić".

I dalej „Kondak".:

„O niczem niewysłowione Słowo Ojca, widząc w tobie Obraz zwycięski niewypowiedzianego i prawdziwie boskiego Twego miłościwego ku ludziom wejrzenia, Obraz, którego nikt oddać nie potrafi, i patrząc na ten obraz zwycięski od Boga namalowany twego rzeczywistego Wcielenia, cześć mu oddajemy całując go".

A wreszcie na zakończenie czyli „odpust".

„Niewysłowionem spojrzeniem przed, z własnej woli, podjętemi cierpieniami i męką raczył miłościwie wyobrazić i zdziałać najświętszy nie ludzką ręką malowany obraz swego przeczystego i bożego w ludzkie rysy wcielonego Oblicza na chuście świętej — Chrystus prawdziwy Bóg nasz, który przez mo-

dlitwy przeczystej swej Matki, świętego Djomeda męczennika i wszystkich świętych (niech) zmiłuje się nad nami i odratuje i zbawi nas, bo dobry jest i pełen ku ludziom miłości".

Formuły liturgiczne słowiańskie z powodu bardzo wielkiej prężności, tak krótko zbierają w jedno tak wiele różnych myśli, prawd i uczuć; tak silnie są syntetyczne i tak głęboko wchodzą w życie wewnętrzne i w najwyższe tajemnice i zasady wiary jednym rzutem wyrazu, że trudno przychodzi je tłómaczyć nie rozbijając ich zwięzłych skrótów na kilka odmienych myśli. Tak jest np. z kondakiem zwróconym do Słowa Przedwiecznego. Jest tam mowa o Chrystusie człowieku, o ludzkiej jego naturze jako o niewysłowionym obrazie miłości Bożej ku ludziom — tego wejrzenia — o jakiem mówi tekst i które przyrównuje, być może do wejrzenia Pana Jezusa które, wedle podania, stało się źródłem odbicia jego twarzy na świętej Chuście. Jest też mowa i o tem odbiciu, o obrazie na świętej Chuście, który nam rysy Boga-człowieka przedstawia tak prawdziwie, materjalnie jak prawdziwem było wcielenie się Słowa, Syna Bożego

Zachodzi tu więc niejaka gra słów co do wyrazów „obraz" i „spojrzenie". Ale patrząc na obraz na Chuście i całując go całą duszą się z tego ciesząc i radując, gdyż niesie on zwycięstwo nad złem, wnikamy jednocześnie w tajniki życia bożego i bożej myśli, miłości, mądrości. Zwrócić należy na to uwagę jak Kościół w tem wschodniem swem nabożeństwie usilnie baczy aby patrząc na obraz święty, wierny nie myślał, że namalował to człowiek, by przedstawić człowieka tylko. Każe nam się zastanawiać nad skutkami spoczęcia naszego wzroku na świętem wyobrażeniu, t. j. nad podniesieniem duszy do wnikania i zatapiania się w tajniki niewysłowionego oblicza bożego, które się w Chrystusie człowieku ukrywa i którego nikt nie namaluje. — Każe przed tem obliczem stawać, to jest przed mądrością i miłością Bożą, której Chrystus Pan był wyrazem i ku którym przez Chrystusa Pana dążymy. Te same myśli, któreśmy podali powyżej, mówiąc o tem, gdzie portretu Pana Jezusa szukać należy: w duszy.

Ciekawem było by stwierdzić ile w tej czci, tak pojętej, oddawanej świętym i cudotwórczym obrazom Chrystusa Pana

na Wschodzie, tak zwanym obrazom „nie ludzką malowanym ręką" — jest pierwiastków Czci Najsłodszego Serca Jezusowego wraz ze czcią Mądrości Bożej Przedwiecznej połączoną. Bo wszak o to nam chodzi, chcąc znaleźć portret Pana Jezusów,—wniknąć w jego duszę ludzką, w jego serce, aby przez nie dojść do Boga. A wyraz starocerkiewny słowiański, o Bogu, o Chrystusie „człowiekoljubec", kochający człowieka, miłośnik ludzi, o tak dziwnie napomyka nietylko biblijne „upodobanie moje między synami ludzkimi" ale słynne powiedzenie z objawień w Paray le Monial „oto to serce co tyle ukochało ludzi". *A. B. R.*

Ś.Ś. Aniołów Stróżów.

2 października.

Wprawdzie nie należą oni do rodzaju ludzkiego, ale tak są jednak zżyci z nami i tak ich akcja zespolona jest z losem naszym, że niepodobna pominąć ich, gdy się mówi o tych wszystkich promieniach jasnych, które szły i idą ku nam z tego słońca przecudnego, jakiem jest Pan Bóg, nieskończenie dobry i nieskończenie kochający.

Nie tu miejsce na głębokie filozoficzno-teologiczne wywody o istnieniu Aniołów i ich naturze. Rozum nie sprzeciwia się możliwości istnienia dobrych duchów, owszem, rozważając t.zw. tablicę ontologiczną bytów, domaga się logicznie tego ogniwa między człowiekiem, a Bogiem. Mamy bowiem byty, o których możemy powiedzieć tylko, że są, np. wszelkiego rodzaju minerały, zimne i bezwładne, bez najmniejszego śladu życia na sobie.

Są inne, jak rośliny, które już żyją, bo mogą się poruszać, choć jeszcze nie samodzielnie. Ruch zaś jest ostatniem echem życia i istotnym jego znakiem.

Są jeszcze inne byty, które są, poruszają się, a więc żyją i czują jeszcze w dodatku —to wszelkiego rodzaju istoty żyjące, począwszy od najprostszej i najskromniejszej ameby, od pierwotniaków, aż do najwyższych szczebli zwierząt ssących.

Nad tem wszystkiem, jako król całego widzialnego świata, panuje człowiek, który jest, żyje, czuje i myśli rozumnie. Rozum i wola, operujące w człowieku pojęciami i pragnieniami niematerjalnemi, dowodzą samym faktem swej działalności, że jest w nas

jakaś substancja niematerjalna, a więc duch, którego są władzami. Przez tego ducha, przez swoją duszę człowiek wynosi się o całą nieskończoność ponad wszystek świat materjalny, tak cudny i pięknym zachwycająco, lecz kruchy w swym składzie organicznym i, jako składający się z oddzielnych najsubtelniejszych cząsteczek, skazany na rozkład nieunikniony i na skończenie.

Przez duszę własną człowiek przechodzi do innego zupełnie królestwa bytów, ale ciałem tkwi jeszcze w świecie materjalnym, jest cudem artyzmu bożego, łączącym ściśle dwa odmienne, choć nigdy sobie nie przeciwne światy.

Ponad człowiekiem istnieje tylko Bóg, jako byt nieskończony, niezależny, początek i koniec wszystkiego, byt pierwszy i ostateczny, najwyższy, najlepszy i najpiękniejszy.

Zawielki to jednak przeskok od człowieka do Boga. Rozum ludzki, przywykły do logiki abstrakcyjnej i widzący tę logikę na każdym kroku, ucieleśnioną we wszystkich tworach wszechświata, domaga się istnienia jeszcze jednego pośredniego ogniwa. Według dotychczas skonstatowanej zasady konstrukcji świata, ponad człowiekiem, który jest na pół duchem i na pół materją, winna się znajdować, nie dochodząc do Boga jeszcze jedna kategorja istot, które byłyby czystym duchem, a więc bytami doskonalszymi od człowieka, ale duchem pochodnym, zależnym w swym początku od Przyczyny Pierwszej, którą jest Bóg, a więc istotami niższemi od Boga.

Takiemi czystemi duchami, lecz zależnemi w swem istnieniu od Najwyższego Ducha jako Pierwszego Bytu—są Aniołowie.

Teraz dopiero tablica ontologiczna bytów zostaje wypełniona całkowicie i harmonijnie i niema w niej żadnej luki, ani pustego miejsca z wielką niewiadomą.

Wniosek ten, którego domaga się filozoficzny rozum człowieka, został na wielu miejscach potwierdzony autorytetem Boga w Objawieniu i stał się w ten sposób artykułem naszej wiary.

Stwierdzają to jeszcze historyczne fakty ukazywania się Aniołów, jak Rafaela, Michała i Gabryjela, mniej lub więcej wiarogodne objawienia prywatne i wreszcie nasze własne doświadczenie, bo niema prawie człowieka, któryby w życiu swojem nie czuł obok siebie jakiejś niewidzialnej ręki serdecznego przyjaciela, który nas niejednokrotnie już wspomagał w trudnych momentach, skarbiąc sobie naszą wdzięczność i zaufanie.

Anioł — to czysty duch, a więc rozum i wola, utwierdzone w dobrem u dobrych Aniołów, lub w złem u złych, bez żadnej domieszki materji, bez śladu zmienności i jakiegokolwiek braku w pełni swej natury. Każdy z nich stanowi w sobie oddzielny, zamknięty „gatunek” Aniołów, albowiem w niebie „ani żenią się, ani wychodzą zamąż”, niema więc tam rodów anielskich, ani pokrewieństwa krwi.

I tam jest hierarchja, dopuszczalna według normy doskonałości na tym stopniu bytów. Jest dziewięć t. zw. chórów „anielskich”, o których wspomina S-ty Paweł, z Serafinami i Cherubinami na czele, jako uosobieniem najwyższego wśród istot stworzonych poznania i miłości.

Pismo Święte mówiąc—zresztą mimochodem tylko—o działalności Aniołów, przedstawia w sposób obrazowy, jak czczą i kochają dobrego Boga i jak opiekują się światem, a w specjalny sposób ludźmi na świecie żyjącymi.

Niema w tem znowu nic dziwnego, ani nie sprzeciwia się to rozumowi. Owszem rozum teoretycznie nawet domaga się takiej funkcji Aniołów.

W ogólnej ekonomji świata byty wyższe zawsze występują jako opiekunowie niższych gatunków, wyższym stopniem swego poznania kierując niemi i swemi bardziej rozległemi wpływami broniąc ich i roztaczając nad niemi opiekę.

Taki również stosunek Anioła do człowieka jest wprost postulatem rozumu, gdy się wyjdzie z założenia, że cały wszechświat jest jedną wielką rodziną bożą. Starszy brat winien być zawsze dla młodszego rodzeństwa mistrzem, opiekunem i obrońcą, zwłaszcza, jeżeli jest wielka między niemi różnica wieku, czy doskonałości.

Anioł jest starszym bratem człowieka. Nie można więc pojąć, ani sobie wyobrazić, by widząc tyle ludzkich potrzeb i taką ułomność człowieka, a mając jako duch czysty doskonalsze zrozumienie, a raczej pojęcie wszystkiego, większą swobodę ruchów i bez porównania wyższą moc działania, pozostawał tylko biernym świadkiem walki człowieka z trudnościami życiowemi, jego szamotania się i męki, jego błędów i fałszywych posunięć.

Bóg sam nie zniósłby takiego „nieetycznego” stosunku w swej rodzinie.

Naturalnym wynikiem tego jest wiara nasza w fakt istnie-

nia Aniołów-Stróżów, jako naszych współpracowników, przyjaciół najbliższych i opiekunów.

Księgi objawienia mówią nietylko a aniołach-stróżach każdego człowieka, ale i o aniołach miast i narodów całych.

Jest to jeden ze szczegółów najradośniejszego i najcudniejszego dogmatu naszej wiary o Świętych Obcowaniu, a dla człowieka logicznego i wierzącego jedno więcej źródło głębokiej radości.

Bo jakże się z tego nie cieszyć? Najbliższe otoczenie nasze niezawsze w nas wzbudza entuzjazm i zachwyt. Dzisiaj szczególnie, choćby się było w najweselszej kompanji, zawsze jednak, niestety, każdy ogląda się na strony, jakby był na czatach na linji bojowej, naprzeciw okopów nieprzyjacielskich. Sytuacja taka, poza zrozumiałem zdenerwowaniem i zmęczeniem duchowem, nie da nam nigdy prawdziwej satysfakcji wewnętrznej i nie sprowadzi tego spontanicznego, naturalnego wylewu duszy, którego potrzebę tak żywo każdy odczuwa i łaknie.

Człowiek jest sam, sam jeden, biedny i opuszczony, a rzadko się dziś spotka szczęśliwca, który znalazł bratnią duszę i bezpiecznie powierzył jej siebie całego. Połowiczne oddanie niewiele sytuację poprawi. Musimy mieć takiego kogoś, któryby był całkowicie „naszym", na śmierć i życie, na każde zawołanie, niezawodnym, najbliższym, mądrym i bardzo dobrym i bardzo kochającym. W przeciwnym razie ciężkiem, bardzo ciężkiem będzie nasze życie, w samotności i odosobnieniu, a więc wbrew naturze, która jest z istoty swojej społeczną.

Tą istotą najbliższą, prawdziwą „bratnią duszą" jest dla każdego z nas jego własny Anioł-Stróż. Towarzysz życia od kolebki, od pierwszej bodaj chwili poczęcia, idzie z nami wiernie poprzez wszystkie miejsca i czasy naszej pielgrzymki doczesnej, nie opuszczając nas ani na jedną chwilę w radościach naszych i w naszych smutkach, w zwątpieniu i upojeniach, przy modlitwie, pracy i odpoczynku, ciesząc się, gdy czynimy dobrze, walcząc z nami przez głos sumienia, gdy zamierzamy popełnić zło, a gdy się już ono stało, używając wszelkich swych wpływów wewnętrznych, by złagodzić jego skutki, a nas doprowadzić do skruchy i powrotu z niebezpiecznej drogi. Zna on nawskroś naturę naszą, wszystkie jej skarby, wszystkie tęsknoty i wszystkie ułomności. Nie dziwi się niczemu, ani niczem nie gorszy. Współ-

czuje tylko, leczy, koi, pociesza, umacnia, nie zrażając się naszem zapomnieniem i niewdzięcznością, jednego tylko pragnąc,—byśmy zawsze czuli się szczęśliwymi według bożej woli i, mimo błędów i słabości, doszli do słonecznego kresu.

Gdybyśmy mogli spojrzeć w jego twarz, ileżbyśmy — mówiąc po ludzku wyczytali w niej troski, błysków nadziei, radości, to znowu niepokojącego oczekiwania, smutku, czy nawet rozpaczy, ale nigdy beznadziejnej — bo on zna cuda łaski, na które patrzy od wieków, zna moc miłości bożej i zna głębie natury naszej, mimo wszystko, oddanej Bogu tam gdzieś, hen aż w najskrytszych swych tajnikach, które choć w ostatniem ziemskiem westchnieniu poruszą się wspomnieniem najlepszego ojca i drgną, jak na myśl o dawno utraconej matce.

Dziwne to towarzystwo — anioła dobrego z człowiekiem — dwuch braci tak nierównych sobie całym systemem myślenia i pragnień, a tak sobie podobnych i tak nierozerwalnie złączonych na zawsze.

Jednego tylko potrzeba z naszej strony:—byśmy się odważyli spojrzyć poza siebie i popatrzyć w promieniującą nieziemskim uśmiechem twarz naszego anielskiego brata... Ileż w tem spotkaniu oczów dwojga boskich dzieci, pełnych wzajemnego zaufania i zrozumienia, mieści się głębi i radości! Choćby się było słabym na każdym kroku—byle bez złej woli, — choćbyśmy nic naszemu niebieskiemu towarzyszowi okazać nie mogli oprócz zapylonych, a nawet zaszarganych łachmanów dawnej szaty godowej—nic to! On się temu nie zdziwi, ani tem nie obrazi. Cieszyć się tylko będzie i radować z nami, żeśmy już z nim pakt braterstwa zawarli. Reszta przy dobrej woli naszej i jego pomocy przyjdzie już bez wielkich wstrząsów i tragedyj.

Od tej chwili połowa ciężaru życia spada nam z bark, bo się już nie idzie samotnie, w ciemności i z zawianemi piaskiem oczami, ale w jasności, wsparci na ramieniu najwierniejszego druha, umocnieni jego spokojnem, a pełnem niezwyciężonej mocy spojrzeniem i słonecznym uśmiechem z nieba, rozgrzeszeni w słabości, ukojeni w smutku i rozkołysani, jak poszumem stepowej trawy, cichą radością ducha, od niego bijącą.

Zmieni się wtedy cała atmosfera nas otaczająca, zgiełk i łoskot życiowego gościńca przycichnie gdzieś daleko, choćbyśmy kroczyli samym środkiem drogi. Otoczy nas atmosfera z innego

świata, ciszy pełnej treści, równowagi pełnej mocy twórczej, jasności miękkiej, radości niekrzykliwej, wejdziemy w realny i jędrny, nie fantazyjny, ckliwy, słodkawy i sztuczny, ale prawdziwy, mocny, twórczy i promieniejący radością nadnaturalizm i mistycyzm, w świat duchów, w krainę nieskończoności przejasnej. Rozmawiać wtedy będziemy z nim, aniołem naszym, jak rozmawiamy z domownikami własnymi i chodzić będziemy nieustannie w jasności promienia bożego. *Ks. A. Bogdański.*

DYSPUTY.

Pyt. Co sądzić o pragnieniu cierpienia?

Odp. Bardzo prosta jest na to odpowiedź. Ten, kto pragnie cierpieć albo jest bardzo naiwny i niedoświadczony duchowo, albo pyszny, albo... na bardzo już wysokim szczeblu uduchowienia. W każdym bądź razie jest to eksperyment, wychodzący daleko ponad miarę zwykłego, normalnego życia i bardzo niebezpieczny w swoich skutkach, nikomu go więc radzić nie można.

Wiele pod tym względem zawinili różni autorowie ascetycznych książek i książeczek i życiorysów świętych, przedstawiając pragnienie cierpienia u świętych i samo ich cierpienie w barwach nienaturalnych, bez wyjaśnienia psychicznego podłoża takich stanów, jak również niepotrzebnie zupełnie i niezgodnie z rzeczywistością ucząc ludzi, że cierpienie jest istotą życia duchowego.

Ładnieby w takiem oświetleniu wyglądał nasz dobry Pan Bóg, który „w nagrodę" dla tych, których kocha, zsyłałby im codziennie krzyże i przykrości i kazałby im się z tego cieszyć „z miłości ku niemu", albo nawet samym wyszukiwać sobie cierpienie dla okazania mu tej miłości. Byłby to najpospolitszy sadyzm duchowy, wyrafinowane okrucieństwo i straszna niewola.

Nie, tego nigdy Pan Bóg od człowieka wymagać nie będzie i nie może nawet. Toć Chrystus wołał ku sobie wszystkich, by szli do niego, a głównie cierpiący „by się ochłodzili"; na drugiem miejscu wołał, że kto zbliży się i pójdzie za Nim, „znajdzie źródła obfite wody żywej", że chce, aby wszyscy

jego uczniowie „życie mieli i obficiej mieli", że chce, by wszyscy pokój mieli i mogli się zawsze cieszyć i radować, co tak dobitnie i z naciskiem powtórzył za nim jak zgodne, doczesne echo, ś-ty Paweł Apostoł: „radujcie się, powtóre mówię, radujcie się!" dlaczego? „Pan blisko jest!" Im kto bliżej Boga, tem więcej cieszyć się i radować powinien, a nie szukać smutku i cierpienia.

Radość zaś z samego cierpienia, jako cierpienia — jest anormalnością. Można się cieszyć, że swojem cierpieniem odkupujemy np. pokój innych—ale to będzie radość z cudzego szczęścia, radość z naszego dobrego uczynku, ale nigdy radość z samego cierpienia.

A czcić Boga przez zadawanie sobie umyślne cierpienia, lub przez wyszukiwanie go na każdym kroku—to już graniczy z przewrotnością duchową, lub z grubą nieświadomością. Cóż-to za Moloch prawdziwy taki Pan Bóg, żądny krwi niewiniątek dla własnej tylko przyjemności!?

Pan Bóg pragnie *jedynie* (podkreślić należy jeszcze raz, że **jedynie**), naszego szczęścia. Po to nas stworzył, w tym celu oddał nam do rozporządzenia cały świat i przygotował wiecznie szczęśliwe niebo. Nigdy, przenigdy nie powstała w umyśle bożym idea cierpienia człowieka.

Skąd przyszło cierpienie? Możnaby o tem pisać całe tomy i wielu już mędrców złamało sobie na tem głowę. Jedno jest pewnem: Bóg nie chciał cierpienia, przyszło ono tylko jako skutek zrujnowanego moralnego porządku przez nadużycie wolnej woli istot rozumnych, których, Pan Bóg nie mógł od tego powstrzymać, bo sam dał im, jako istotną cechę ich natury, tę właśnie wolną wolę.

W każdym bądź razie cierpienie jest prawdziwą anormalją, a życie duchowe jest najwyższą logiką. Te dwie więc rzeczy nie mogą nigdy iść ze sobą w parze. Pragnienie więc cierpienia jest albo chorobą, albo nieświadomością.

Wiele stąd płynie konsekwencji praktycznych dla życia duchowego, a jedną z nich jest: co wybrać, gdy mam przed sobą jednocześnie prowadzące do tego samego celu dwie drogi: cierpienia i radości, dwa środki: trudniejszy i łatwiejszy, dozwoloną przyjemność i jej wyrzeczenie się (dlatego tylko, by cierpieć!).

Oczywiście—wybrać należy radość i to co łatwiejsze i to, co nam może osłodzić choć w części nasze ciężkie życie.

Tego chce Pan Bóg, bo On chce, by nam zawsze było lekko i dobrze, tego domaga się rozum, bo on idzie zawsze za tem, co dodatnie, c to wreszcie woła i krzyczy cała natura, bo łaknie i pragnie prawdziwego szczęścia i ulgi.

Bardzo też ryzykownie powiedział ś-ty Jan od krzyża, gdy radził, by z dwóch rzeczy zawsze wybierać bardziej przykrą.

Ryzykowne, bo Pan Bóg nie chce w normalnych warunkach naszego życia, byśmy cierpieli i utrudniali sobie życie— a więc niezawsze pewna jest przy takim wyborze łaska; dlatego również, że perspektywa tego rodzaju zniechęca nieraz najbardziej heroiczne jednostki, bo jednak natura zawsze buntuje się przeciw cierpieniu i muszą nieubłaganie po chwilach podniesienia ducha przyjść momenty depresji i dlatego wreszcie, że to grozi na dalszą metę pewnem zaślepieniem, a nawet pychą duchową.

Najlepszą, najbardziej ludzką i bożą radę dał „le doux Saint François de Sales", gdy powiedział: niczego nie odrzucać, za wszystko dziękować i ze wszystkiego się cieszyć. Zostawmy Panu Bogu troskę o wymiar naszego doczesnego cierpienia. On najlepiej zna możność naszą i najlepiej nam życzy, bo nas więcej kocha, niż my sami siebie i napewno ani nam nie doda za wiele, ani nam nic nie ujmie. Narzucać się z tem Panu Bogu jest pewnego rodzaju nieprzyzwoitością duchową, a nawet niejaką obrazą, bo Mu się każe być tem, czem nie jest i nie chce być za żadną cenę: — okrutnikiem, męczącym tych, których najwięcej kocha.

„Dość ma dzień na utrapieniu swojem"—powiedział Pan Jezus i bardzo mądrze. Znieśmy tylko z rezygnacją chociaż, jeżeli już nie z podziękowaniem i radością, to, co u nas bez specjalnego szukania i pragnienia przychodzi — to już będzie wielki heroizm i wielkie udoskonalenie. A czyśmy już to osiągnęli?...

Cierpienie więc dla samego cierpienia jest sadyzmem duchowym, a upatrywanie w tem szczytu doskonałości jest bardzo bolesną omyłką i niezrozumieniem istoty doskonałości.

Można, owszem, pragnąć nieraz większego cierpienia, ale nie dla niego samego, nie dla „przypodobania się" Panu Bogu, a z innych, zupełnie racjonalnych i prawdziwie bohaterskich i świętych celów, przedewszystkiem zaś dla zadośćuczynienia za siebie, jako pokutę, lub za innych, by dla nich uzyskać łaskę nawrócenia, lub zmniejszenia cierpień tych, których kochamy.

To czynić nam wolno zawsze i taką ofiarę Bóg przyjmie i doda łaski do jej spełnienia. Tak też pragnienie cierpienia ujmowali święci i tem się kierowali przy wyborze rzeczy bardziej przykrych.

Kto kocha Boga i bliźniego, ten nie zostanie nigdy obojętnym na upadek innych i grożące duszom niebezpieczeństwo.

Zapytajmy prawdziwych duszpasterzy, ilu modlitwami i ofiarami wyprosili i okupili sobie u Boga łaskę dla swych owieczek. Zapytajmy kochających matek, żon, sióstr i tylu ukrytych dusz apostolskich, co czynią dla nawrócenia zbłąkanych? — Później, na sądzie ostatecznym, gdy wszystko przed oczami naszemi się odkryje, ujrzymy te cudne łaski, spowodowane bezgranicznem poświęceniem nieznanych dotąd bohaterskich dusz. Wtedy zrozumiemy potęgę miłości.

Zrozumiemy również i to, o czem już we wrześniowych dysputach była mowa, że można cierpieć z radością. Lecz wtedy nie samego cierpienia pragniemy, jako celu, ale tylko jako środka do wyższego dobra i świadomość osiągania tego dobra daje nam tę wielką radość duszy, a nie świadomość samego cierpienia.

Ideałem apostolskiej ofiary w dobie obecnej winna być ofiara pracy. Nie marnować sił, nawet fizycznych, w dręczeniu siebie wszelkiego rodzaju umartwieniami — ale oddać je wszystkie żmudnej, codziennej pracy, na jaką nas stać — oto prawdziwa pokuta i ofiara. Praca czeka, woła, prosi, by ją podjąć—a niema rąk i ofiarnych pracowników. Nie wolno nam więc marnować sił w inny sposób, gdy one z wyraźnej woli bożej tam są potrzebne. Nie marzyć poetyczno - histerycznie o szczytach cierpienia, ale pracować, pracować i pracować...

A gdy kto pewien będzie, że Bóg powołuje go do życia ekspijacyjnego w zakresie ściśle kontemplacyjnym—szczęść mu Boże, na tej drodze—ale, niech będzie jej pewien, tymczasem zaś niech pracuje, ile mu sił starczy.

* * *

Pyt. Ćwiczyłam się w pokorze i teraz jestem bez ambicji. Czy warto podjąć walkę z tą nową wadą, czy dać jej spokój? To, bądź-co-bądź, tarcza przeciwko pysze.

Odp. Kto się ćwiczył w pokorze, ten zniesie pokornie, gdy mu powiem, że nie mogła to być prawdziwa pokora, skoro doprowadziła do utraty ambicji. Albo—co jest pewniejsze, pojęcie utraty ambicji nie jest tu właściwe. A następnie—nie potrzeba walczyć z wadą, bo to droga długa i przykra, a raczej rozwijać w sobie cnotę odpowiednią, w danem wypadku szlachetne poczucie własnej godności i honoru.

Pokora jest prawdą i mocą. Nie jest zaś obłudą i kłamstwem przez pobożne wmawianie w siebie, że się jest niczem, gdy się od Boga ma wiele, ani że się winno być podnóżkiem wszystkich, gdy warunki życia pozwalają na czynienie czegoś więcej. Ani też nie jest słabością i „ślamazarstwem", by pozwolić każdemu robić z nami co mu się podoba i wchodzić nam na czubek głowy, bo na to się ma rozum i instynkt samozachowawczy, by być zawsze na swojem miejscu i być zawsze czynnym.

Bardzo często na tym punkcie spotykamy się u dusz, dążących do doskonałości z fatalnym błędem, że im człowiek jest doskonalszy, tem bardziej powinien być biernym.

Przeciwnie, im się ma duszę bogatszą i bardziej urobioną, więcej światła rozumu, wiary i siły woli — tem więcej należy to w czyn zamieniać, tem trzeba więcej z siebie dawać, a nie pozwalać na skubanie i deptanie, jak kwiatek lub trawka przydrożna.

I kwiatek i trawka mają przedewszystkiem radować oczy ludzkie i to jest ich rola czynna w ekonomji świata, a dopiero gdy siła wyższa je do ziemi przybije lub skosi zawcześnie, albo zerwie, wtedy tylko zaczyna się ich rola bierna.

Doskonałość — to życie, a nie martwota i śmierć. Pokora — to „Magnificat" duszy, która śpiewa, iż „odtąd błogosławioną mnie zwać będą wszystkie narody" (a więc nie poniżać!), a to dlatego, że „uczynił mi wielkie rzeczy" (przyznanie własnej godności i wartości ideałów bożych), ale to zrobił „On", „który możny jest" (odniesienie wszystkiego do Boga, zgodnie z rzeczywistością). Pokora—to szczere i proste przy-

znanie wszystkich skarbów swojej duszy, nie chowanie ich pod koszem i wszystkich braków, nie obłudne ich tłómaczenie, przyznanie własnej w tem pracy, a raczej współpracy i odniesienie wszystkiego do Boga, jako do Pierwszej Przyczyny i szerokie wykorzystanie tych wszystkich darów bożych, choćby z największym splendorem i rozgłosem, jeżeli tak będzie trzeba, zawsze jednak z pamięcią, że to od Boga. Wszystko od Boga przyjąć i wszystko oddać Jemu i ludziom — oto prawdziwa pokora, jaką była u najpokorniejszej Bożej Matki, bez obłudy i fałszywej skromności, nie chowając do kufra boskiej szaty, ale przywdziewając ją na każdy dzień, ciesząc tem innych, pamiętając jednak, że to ojcowska szczodrobliwość nam ją sprawiła i mówiąc wszędzie:—„patrzcie, jakiego mam dobrego ojca!”

Zatracenie ambicji jest wtedy, gdy, niepomni na swoją godność ludzką, jako synów bożych, pozwalamy nadużywać siebie do rzeczy niezgodnych z tą wielkością lub ubliżać sobie bez dania do tego powodu wystarczającego.

Mimo całej naszej gotowości do służenia innym, nigdy nie wolno nam dla miłości bliźniego popełnić nieetycznego czynu, ani też bez racji dać się mieszać z błotem. Przykłady świętych, na których niepotrzebnie się powołujemy, nie były bezmyślne i oznaką bierności, czy niechlujstwa duchowego. Było tam zawsze głębokie podłoże psychiczne i wyższe racje (nie dla samej rozkoszy, że się czuli pogardzonymi).

Bronić swego honoru i swej godności zawsze możemy, a nawet powinuniśmy w zwykłych warunkach naszego życia.

Lecz to nie znaczy, by na grubijaństwo odpowiadać grubijaństwem. Grzeczność, takt i powaga, połączone z mocą i promieniującą równowagą duchową zawsze znajdą odpowiednie wyjście, zgodne z miłością bliźniego i poczuciem własnej godności.

Jeszcze raz podkreślić należy: pokora — to prawda, siła i radość—a wszystko, co jest tylko zewnętrznym blichtrem, biernością, brakiem należnej ambicji, ukrytym smutkiem — to nie pokora, choćby się w najlichsze szaty ubrała.

Bądźmy zawsze sobą. *Amicus.*

Requiem.

Schodzisz samotny z tego padołu
I snem wieczystym cicho już śpisz!...
Do wilgotnego złożą Cię dołu,
Ziemią przysypią... postawią krzyż...

Schodzisz samotny z tego padołu,
Głuchy dźwięk dzwonów do snu Ci gra...
A dusza Twoja, w gronie aniołów,
Mknie z nocy życia do niebios dnia...

Na Twoim grobie brzozy zielone
Zapłaczą echem rodzinnych pól...
Ach! czyż zdołają wypłakać one
Życia ludzkiego nędzę i ból!...

Ptaszek Ci piosnkę smętną zanuci,
A woń Cię uśpi fijołków i bzu;
Nikt Ci spokoju tu nie zakłóci,
Ani wiecznego nie przerwie snu!...

Lecz nikt się również modlić nie będzie,
Ani nie złoży na grobie róż!
Zbyt wiele nieszczęść i trosk jest wszędzie,
By myśleć o tych, co zmarli już...

I tak szczęśliwym zwać Cię należy,
Żeś już opuścił nędzny ten świat....
O! kiedyż dla mnie kres ten nadbieży?
Ileż mam jeszcze tułać się lat?...

Bronisław Wiszniewski.

BOHATEROWIE WIARY.

Teresa Izabela Morsztynówna.

Panowanie króla Jana III Sobieskiego oraz lata panowania króla Augusta II Sasa — to okres, w którym w narodzie polskim dawna cnotliwość, zacność i pobożność, acz jeszcze nieznacznie, poczyna chylić się ku upadkowi. Fala tych niepożądanych objawów płynęła do kraju naszego z zagranicy, zwłaszcza z Francji, gdzie podówczas władał roi soleil, ten, co butnie oświadczył: „L'état c'est moi": król Ludwik XIV. Prądowi temu — rzecz oczywista — ulegali najpierw ci, którzy z krajami zagranicznemi utrzymywać musieli stosunki z racji swego urzędu, a więc wszyscy wyżsi przedstawiciele sfer rządowych z dworem królewskim na czele. Warstwy niższe, zajęte zmaganiami o chleb powszedni, trwały przy Kościele katolickim, przestrzegając bacznie przykazań dekalogu, ze szlachtą zamożniejszą jednak sprawa przedstawiała się gorzej. Propagowane przed wiekami z okładem przez Mikołaja Reja, nagłowickiego pana, smakoszostwo i dogadzanie podniebieniu odżyło w całej pełni, choć „apostoła"—teoretyka w rodzaju autora „Żywota człowie-

ka poczciwego" nie stało; o prohibicji antyalkoholowej nie myślano jeszcze, więc podstarzałemi napojami wyskokowemi nie pogardzano; a że pracą oraz wysiłkiem fizycznym nie grzeszono, owa nieproporcjonalność między spożyciem a zużyciem energji powodowała skierowanie jej w innym kierunku, kierunku złym, oraz rozbudzenie pożądań zmysłowych. Zaczęło się to niestety od najwyższego szczebla w hierarchji społecznej. Trudno powiedzieć, by jad zepsucia opanował całą elitę społeczeństwa, coś podobnego bowiem głosić byłoby niesprawiedliwością wobec owych kroci zacnych i pobożnych mężów oraz niewiast, co żyli w tym czasie, wszakże bardzo znaczna część wyższych sfer, nie wiedząc może nawet o tem, weszła na taką samą drogę, jak Ludwikowy dwór w Wersalu. Dobrze nie było wówczas, lecz mimo to z warstwy tej wyszedł prześliczny kwiat niewinności oraz dziecięcego czaru, Teresa Izabela Morsztynówna, wyszedł i rozkwitł nie w cieplarnianej atmosferze murów zakonnych, ale w świecie.

Rodzicami świętobliwego dziewczęcia, urodzonego w 1680 r., byli: Stanisław z Raciborska Morsztyn, wojewoda sandomierski oraz senator, i Konstancja Oborska. O ich walorach moralnych trudno powiedzieć coś konkretnego. Wprawdzie o. Florjan Jaroszewicz, Reformata, darzy ich mianem „pobożnością katolicką sławni", jednak jakoś trochę zbyt hojnie szafuje tem określeniem, wobec czego przyjąć trzeba to świadectwo z całem zastrzeżeniem. Dotychczasowi biografowie, którzy nawzajem się uzupełniają, jednogłośnie podnoszą z lat dziecięcych Teresy jej zamiłowanie do nauki, jakiego rodzice, chociaż to jeszcze nie było w modzie, nie tłumili, jeno pozwalali mu się rozwijać przez sprowadzenie do domu specjalnych nauczycieli, przedewszystkiem duchownych. W ten sposób „w różnych naukach, godnemu imieniu przyzwoitych, — opowiada o. Jaroszewicz — była wyćwiczona". Podobno w krótkim czasie zdołała ona przyswoić sobie kilka języków, między niemi zaś łacinę, którą opanowała do tego stopnia, iż mogła w tym języku swobodnie rozmawiać.

Te szczegóły o zdolnościach lingwistycznych kilkunastoletniej wojewodzianki mogą imponować, mogą niejednego wprowadzić w zdumienie, tymczasem nie to stanowi jej wielkość. Sławę swoją zawdzięcza Teresa prawdziwie świętobliwemu życiu. Krótki jej żywot— to ustawiczne posuwanie się naprzód po drodze życia wewnętrznego. Nie starała się ona bynajmniej wdzierać się na wyże doskonałości duchowej gwałtownie, wspinać się tam jednym gigantycznym wysiłkiem, tylko codzień choć trochę, choć troszeczkę starała się stać lepszą, doskonalszą, ufna, że i te drobne wysiłki doprowadzą ją prędzej czy później do Boskiego Oblubieńca. „Ciągle naprzód" -- oto dewiza, jaką miała ustawicznie przed oczyma. Przejęta miłością Boga, na

Jego chwałę co dnia ofiarowywała drobne ofiary oraz poświęcenia, w czem podobna jest znacznie do swojej wielkiej współimienniczki, św. Teresy od Dzieciątka Jezus.

Szczególnym rysem charakteru pobożnej wojewodzianki była skromność. Do jakiego stopnia rozwinięta była w jej duszy ta cnota, wiele mówi o tem pewien fakt z ostatnich lat jej anielskiego życia. Opowieść o nim zamieścił też o. Jaroszewicz: „Przez cudnie piękną urodę, wdzięczną wymowę, biegłość różnych języków, roztropność w akcjach, skromność w gestach, uczciwość w obyczajach tak wszystkim była przyjemna, że nietylko równych sobie kawalerów oczy i serca pociągała, ale pewny monarcha, słysząc o jej wybornych przymiotach, pragnął cieszyć się jej widzeniem i mocno się o to starał; ale wstydliwa panienka Teresa, bojąc się przynajmniej złego poruszenia stąd, żadną miarą nie chciała mu się dać widzieć". Dyskrecja i kurtuazja zasłużonego hagjografa doszła w tym fragmencie bodaj do zenitu. „Pewny monarcha", tak dyskretnie przemilczany, jest to poprostu król August II. Dlaczego go o. Jaroszewicz nie wymienił, możnaby na ten temat fantazjować oraz przypuszczać mnóstwo. Godna również podziwu jest kurtuazja, z jaką się odzywa: „Pragnął cieszyć się jej widzeniem". Inna relacja bez przemilczenia głosi, że monarcha ów chciał ją mieć w gronie pięknych dam swego dworu. Z zaproszenia królewskiego rodzice ucieszyli się coniemiara, ponieważ było to poniekąd zadatkiem łaskawości króla, jednak Teresa pomimo młodego wieku czuła doskonale, że grozi tam jej duszy ogromne niebezpieczeństwo. Zawsze posłuszna rodzicom, w danym wypadku, pomnąc o tem, że stworzoną jest do wyższych rzeczy, oparła się oraz z całą ufnością wyznała, aby jej tam nie zawożono, gdyż nie chce się podobać nikomu z ludzi, jedynie samemu Panu Jezusowi. Obdarzona pięknością cielesną rozumiała, iż uroda nie jest czemś do pokazu, do prezentowania, posiadanie jej bowiem — to nie zasługa osobista.

Rodzice Teresy nie chcieli tak łatwo spełnić życzenia jej, nieco obawiali się niełaski monarszej, aż ostatecznie uznali, że jednak córka ich ma rację. Dzięki temu, widząc, iż wyświadczanie przysług bliźnim, sprawia jej największą przyjemność, dopomagali jej prowadzić akcję charytatywną, której ona poświęciła się całą duszą. Wiele natenczas było w kraju nędzy, znalazła tedy teren do działania, a w wynajdywaniu źródeł zasiłków dla swych ukochanych biedaków była rzeczywiście niedościgniona. Kiedy zbliżały się np. jej imieniny, uprosiła rodziców, iżby nie urządzali z tej racji balu dla znajomych, z którego byłoby bez wątpienia więcej obrazy Boskiej, aniżeli chwały, lecz żeby na to miejsce urządzili poczęstunek dla ubogich. Jak pragnęła, tak też się stało.

Były to już ostatnie miesiące nieskalanego żywota świętobliwej wojewodzianki. Raz, wedle słów żywotopisa następnego pokolenia, „wstała rano doskonale zdrowa..., aż oto w kilka dni potem zachorzała". Choroba trwała niedługo i oto w samą uroczystość Wniobowzięcia Najświętszej Marji Panny, dnia 15 sierpnia 1698 r., dusza pobożnej osiemnastoletniej dopiero dzieweczki przeniosła się na łono Boże. Śmierć w dniu Matki Boskiej Zielnej, w którym przecie zmarł św. Jacek oraz św. Stanisław Kostka, może być śmiało poczytana za jakieś specjalne uprzywilejowanie Teresy przez Bogarodzicę.

Podług świadectwa o. Jaroszewicza, „ojciec jej, pan nietylko w życiu pobożny, w radach wielce mądry, ale w różnych naukach wyborny, na pociechę matki jej, a swojej małżonki, nieutulonej w żalu, wydał do druku książkę dziwnie pięknym wierszem pod tytułem: „Żale rodziców po zmarłej córce jedynej, w której cnoty Teresy, jako je najlepiej znał tak obszernie opisał". Tak oto brzmi jego relacja, skonfrontowana wszakże z rzeczywistością wykazuje szereg błędów. Czy o. Jaroszewicz miał pod ręką w trakcie pisania egzemplarz tego utworu wierszowanego wojewody Morsztyna? Zdaje mi się, że napewno nie, a tylko posiłkował się pamięcią. Bibljografja narodowa zna istotnie wiersz o Teresie, nosi on jednak tytuł odmienny. Karol Estreicher w tomie XXII, wydanym w Krakowie w 1908 r., „Bibljografji polskiej" przytacza go w brzmieniu następującem: „Plankty żałobne po zmarłey światu, a niebu żyjącey, Jaśnie Wielmożney Jey Mci Pannie Teresyey Morsztynownie Woiewodziance Mazowieckiey[1]) w sámę uroczystość Wniebowźięćia Matki Bozey roku 1698 dnia 15 miesiącá Sierpniá Sákrámentami Świętemi uzbroionéy z doczesnego páadołu płaczu, w kwiećie niewinnego pánieństwá. Do szczęśliwey wieczności przenieśioney, w górnym Syonie z Matką Bożeą tryumfującey, która okropną śmierci potyczką nieustraszona heroiná laurem niebieskiey korony z gwiazd y lilij herbowych ozdobnie uwieńczona. Oraz iasnoświetną rozlicznych cnót y przymiotów szatą na wieczne wesele przyodźianá, Máiestatowi Bożęmu lilią panieńskiey czystośći, tudziesz biały na Krzcie Świętym powźięty páludáment, przed thron Największy złożyła. Z tym wszystkim dla ulgi serdecznego żalu, Jáśnie WW. JJ. MM. rodziców niemniey, dla wiecznej w potomne czásy pamiątki, światv głoszone. Y na widok, przez życzliwego typográfa, przy deponowaniu ciała Jey w kośćiele WW. OO. Reformatów Franciszka Świętego w Sędomirzu. W tymże roku y miesiącu rythmem poetyckim reprezentowane". Nie

---

[1]) Biografowie zgodnie nazywają ją wojewodzianką sandomierską, skąd więc ta nazwa, to pytanie. O Jaroszewicz powiada, że ojciec jej był na „dwuch senatorskich krzesłach". Być może, iż tu należy szukać rozwiązania zagadki, a to da się zrobić dopiero po dłuższych szperaniach w bibljotekach.

ulega wątpliwości, że utwór, wspomniany, przez o. Jaroszewicza, a ten o takim barakowym tytule jest to jeden i ten sam. Teraz jeszcze jeszcze jedna uwaga. Z karty tytułowej już widać, iż wiersz napisany został stylem mocno napuszonym. Czyżby więc posądzać o taki utwór wojewodę Morsztyna, człowieka bądź co bądź statecznego oraz poważnego? Niewątpliwie i tu wspomniany autor pomylił się znowu dlatego, ze nie miał utworu o jakim pisał przed oczyma. Na odwrocie karty tytułowej znajduje się czterowiersz, podpisany przez Stanisława Schedela, studenta szkoły poetyki. On zapewne jest również autorem całości, a ów barok skrajny, używany przezeń, łatwo wytłumaczyć, no i wybaczyć mu.

Ciało Teresy po śmierci złożone zostało w Kościele św. Józeta w Sandomierzu, podówczas własności oo. Reformatów. Gdy trumnę otworzono w 1716 r,, znaleziono zwłoki nieskażone. Otwarcia tego dokonano na prośbę rodziców, którzy wznosili wtedy w tej świątyni nagrobek córki. W 1734 r. także podziwiano nieskażoność jej ciała, kiedy zaś pierwsza trumna rozsypała się, zwłoki ciągle całe, na rozkaz o. Stefana Horodyńskiego, ówczesnego prowincjała reformackiego na Polskę, dnia 9 stycznia 1742 r. przełożono do nowej trumny. Przed laty dwudziestu siedmiu ks. Józef Rokoszny pisał: „Ciało ośmnastoletniej panienki, chociaż od dwustu już lat leży w grobach kościelnych, nie rozsypało się jednak w proch, nie uległo zepsuciu; owszem znać doskonale twarz, oczy nos, usta, ręce i włosy. To jest tem dziwniejsze, że tuż obok widzimy zwłoki ludzi, daleko później zmarłych, a zostały z nich tylko czaszka i kilka grubszych kości z rąk i nóg".

Jeśli chodzi o literaturę o Teresie, to pod dniem 22 listopada o. Jaroszewicz zamieszcza „Żywot świątobliwej panny Teresy Izabeli Morsztynównej, wojewodzianki Sandomierskiej". Zawierają go wszystkie wydania „Matki świętych, Polski": krakowskie z 1767 r., piekarskie z 1850 r., poznańskie z 1893 r. W wydanych w Warszawie w 1902 r. „Świętych Pamiątkach Sandomierza" ks. Rokoszny zamieścił rozdział p. t. „Ciało Morsztynówny." Krakowski „Kalendarz „Róż św. Teresy" od Dzieciątka Jezus na rok Pański 1928", wydany w 1927 r. przyniósł artykuł niżej podpisany zatytułowany: „Świątobliwe imienniczki św. Teresy w Polsce", gdzie znalazł się ustęp także o pobożnej wojewodziance. Od roku zgórą w jednem z wydawnictw warszawskich leży gotowy do druku żywocik Teresy przeznaczony dla dziatwy, leży i czeka zmiłowania wydawcy, który się podjął go wydać.

Życie świętobliwej dzieweczki, acz krótkie, — to piękny wzór do naśladowania dla dziewcząt naszych czasów, trzeba je więc z niem zapoznać koniecznie, bo bezsprzecznie odniosą z tego korzyść niemałą. *Józef Marjan Chudek.*

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Śmierć Woltera

Część. I. Ostatni pobyt w Paryżu i ostatni triumf.

Już w 1878 roku ostatni zwolennicy wolterjanizmu obchodzili, 100-letnią rocznicę śmierci swego „patrjarchy” bez żadnej okazałości, przy zupełnem zobojętnieniu ogółu; tembardziej więc w 1894 r., ponieważ urok „wielkiego filozofa” zmniejszał się z dniem każdym, nie ośmielili się wezwać ogółu do święcenia drugiego stuletniego jubileuszu jego urodzin. Od tej chwili zapomniany Wolter ukrył się jeszcze bardziej w mrokach i cieniu.

W czasach, kiedy obchodzenie różnych jubileuszów, nawet ludzi miernie krajowi zasłużonych, przekracza niemal granice umiaru, a zasługi prawdziwe czy urojone rozdmuchuje się do niebywałych granic, czyż namacalnie nie widać, jak zatonęła w niepamięci 150-letnia rocznica śmierci Woltera, tego boga niewierzących, która to rocznica przypadała 30 maja roku zeszłego?

Sama nawet prasa antyreligijna i masońska nie uczyniła o tem najmniejszej wzmianki. Czciciele porzucają ołtarz wolterjanizmu, bożek został obalony, kult wygasł całkowicie.

* * *

Nie będzie jednak bez korzyści jeśli wrócimy do tej smutnej historji, uwypuklając w niej to zwłaszcza, co towarzyszyło ostatnim chwilom największego wroga chrystjanizmu, człowieka, o którym wielu twierdziło, że był uosobieniem całego wieku.

Studjum obecne jest oparte na współczesnych autentycznych dokumentach, zawartych w manuskrypcie niedawno odnalezionym, a w całości umieszczonym w znakomitem dziele Fryderyka Lachèvre, „Wolter umierający”. Jest tam cała serja zeznań naocznych świadków i opis różnych okoliczności, datujących sie od chwili śmierci filozofa.

Jednym z najpoważniejszych świadków jest kapłan, który zwyciężając różne przeszkody, dotarł do Woltera i starał się go wyspowiadać. Jest nim ksiądz Gaultier, który w swoich pamiętnikach z dnia 2 czerwca 1778 r. (śmierć, jak powiedzia-

no wyżej, nastąpiła 30 maja) bardzo dokładnie przytacza różne szczegóły ze spotkania swego z Wolterem i te podaje do wiadomości arcybiskupa paryskiego Krzysztofa de Baumont.

Niemniej poważnym świadkiem jest Wagnière, sekretarz Woltera, który mu towarzyszył w ostatniej podróży do Paryża, i zostawił bardzo szczegółowy jej opis.

Prócz tego posiadamy manuskrypt, wyżej wspomniany, pod tytułem: „Śmierć Woltera". Są w nim wyniki dochodzenia, rozpoczętego dnia 1-go czerwca 1778 roku (na drugi dzień po śmierci) i przesłanego w dniu 1 grudnia tegoż roku do biskupa, który to dochodzenie nakazał, a którego nazwisko niestety wyrażone jest tylko literą A.

W tem dochodzeniu jasno uwydatnia się fakt, że autor manuskryptu miał stosunki bliższe i dalsze z księdzem Gaultier i z innymi naocznymi świadkami jak z ks. Tersac, proboszczem parafji świętego Sulpicjusza, w której umarł filozof; z chirurgiem Try i jego uczniem Brizardem, którzy codziennie Woltera odwiedzali, wreszcie z pielęgniarkami Roger i Bardy, które były obecne ciągle przy łożu jego w czasie choroby, a zwłaszcza podczas ostatnich chwil życia. Bardy była nawet żoną kucharza filozofa.

Wszystkie te świadectwa, uzupełnione jeszcze słowami przybocznego lekarza Tronchin'a i wzajemnie się potwierdzające stanowią taką siłę przekonywującą, że o ich osłabienie lub tembardziej zbicie nikt dotychczas pokusić się nie miał odwagi.

* * *

Wolter, wyjechawszy z Ferney 5-go lutego 1778 r. ze swym sekretarzem Wagnièrem i kucharzem Bardym, przybył do Paryża 10 lutego przed południem, już bowiem od lat 30 nie mieszkał stale w Paryżu. Encyklopedyści widzieli w tej podróży swego szefa środek do odzyskania wpływu, jaki już od pewnego czasu poczynali tracić. Ażeby skłonić filozofa do powrotu do stolicy, pisze Wagnière, zaczęto go przekonywać, że król, królowa, książę d'Artois i cały dwór gorąco pragną go zobaczyć; w tym celu zaczęły napływać do Ferney mniemane listy z Paryża i Wersalu, pełne największych dla Woltera pochlebstw. Listy te miały pochodzić nie tylko od bardzo wybitnych osób, ale nawet od samego króla. Do tych

kłamstw siostrzenica Woltera, pani Denis, wielbicielka filozofa i jej przyjaciele pan de Villette i pan de Villevieille, dołączyli inny jeszcze argument: jego utwór tragiczny „Irena", bardzo mierny płód osiemdziesięcioletniego starca, który autor uważał za swe najlepsze dzieło straciłby zupełnie znaczenie i wartość, mówili, jeśliby sam filozof nie przybył do stolicy i nie kierował aktorami przy jego odegraniu. Te przekonywania odniosły w końcu skutek i Wolter zgodził się na wyjazd.

Przybywszy do Paryża, starzec udał się na róg ulicy des Theotins (która obecnie nosi nazwę filozofa) i ulicy de Beaune i zamieszkał u przyjaciela swego markiza de Villette zdeklarowanego niedowiarka, którego życie było wiernem odbiciem jego bezwyznaniowych przekonań. Wiadomość, że filozof przybył do Paryża, wywołała na dworze królewskim wielkie zdziwienie; dowiedziawszy się o tem, Wolter uczuł się głęboko dotkniętym w swej pysze, tembardziej, że podobne upokorzenie spotkało go już nie po raz pierwszy. W lipcu bowiem 1777 r. cesarz Józef II. brat królowej francuskiej Marji Antoniny, ulegając namowom Marji Teresy przedsiewziął podróż do Francji pod przybranem imieniem księcia de Falkenstein: przejeżdzając wszakże niedaleko Ferney, gdzie mieszkał Wolter, wcale się tam nie zatrzymał, mimo że filozof do tej wizyty się przygotował, a jego wielki przyjaciel Fryderyk II pruski zawczasu mu tego zaszczytu winszował.

Paryż cały jednak był ogromnie zaciekawiony przyjazdem filozofa, a dom markiza de Villete'a był oblegany przez rozmaite osoby, pragnące złożyć wizytę Wolterowi. Między innymi wysłannicy akademji francuskiej: książę de Beauvau Marmontel i Saint-Lambert wraz z dwunastu członkami tejże byli u starca z uroczystą wizytą i serdecznem powinszowaniem. Znakomity Franklin bawiący naonczas w Paryżu, przyprowadził do Woltera swego wnuka, prosząc dla niego o błogosławieństwo (!!). Stary filozof, wyciągnąwszy nad klęczącym małym kwakerem ręce pobłogosławił go mówiąc: „Bóg i wolność". Damy z wysokich sfer społeczeństwa, cisnąc się w tłumie odwiedzających, nie wstydziły się całować ręki filozofa. Do aktorów, przybyłych doń w komplecie Wolter odezwał się: „Chcę żyć tylko przez was i dla was jedynie".

* * *

Sceniczne opracowanie tragedji „Irena" zajęło mu bardzo wiele czasu. Ponieważ aktor Lekain, na którym Wolter opierał całe powodzenie swej sztuki, umarł na dwa dni przed jego przybyciem, filozof poprosił o współudział utalentowaną aktorkę de Vestris, którą zobowiązał się osobiście w grze wyćwiczyć. Gdy przy deklamacji aktorka nie umiała oddać, jak należy, jego uczuć, starzec przejęty tem do głębi, zaczął sam deklamować z takim wysiłkiem, że pękło mu w piersiach naczynie krwionośne. Krew buchnęła ustami tak silnie, że przerażone otoczenie wezwało natychmiast doktora Tronchina, który oznajmił że starcowi grozi poważne niebezpieczeństwo.

Według słów Wagnier'a, sprawa przedstawia się nieco inaczej: mianowicie, gdy dnia 25 lutego pisał on pod dyktandem Woltera leżącego na łóżku, nagle starzec wśród silnego kaszlu dostał gwałtownego wybuchu krwi, czem zawezwany natychmiast lekarz Tronchin mocno się zaniepokoił. Sekretarz przytem dodaje: „Wolter niechcąc, jak sam się wyraził, by ciało jego po śmierci było rzucone na śmietnisko, polecił mi napisać do ks. Gaultier, aby przyszedł doń na rozmowę. W obawie, by żądanie księdza nie było poczytane Wolterowi za objaw słabości ducha, udawałem przed filozofem, że list wysłany, lecz, że księdza nie można było odnaleźć. Wtedy starzec tak się wyraził do obecnych: „Będziecie przynajmniej świadkami, panowie, że chciałem spełnić to, co tutaj nazywają obowiązkiem". Gdy ks. Gaultier wrócił z prowincji do Paryża, jako kapelan szpitala dla nieuleczalnych, stosunki między nim a Wolterem zostały nawiązane. Kapłan ten, ożywiony gorącem pragnieniem nawrócenia filozofa, na pierwszą wieść o jego chorobie napisał do niego list następującej treści: (według relacji od arcybiskupa list nosi datę 20 lutego) „Wiele osób podziwia Pana i ja z głębi serca pragnę być jednym z wielu, co całkowicie od Pana zależy; jest jeszcze czas na to. Powiem Panu nadto coś więcej, jeśli Pan mi pozwoli na rozmowę z sobą. Choć jestem jednym z najbardziej niegodnych sług Kościoła, to jednak nie powiem Panu nic takiego, coby było niegodnem mego urzędu i coby nie miało Panu sprawić wielkiej radości. Jakkolwiek nie śmiem sobie obiecywać tego szczęścia, to jednak nie zapomnę o Panu przy spra-

wowaniu Ofiary Mszy świętej i z największą gorliwością, na jaką tylko zdobyć się mogę, prosić będę sprawiedliwego i miłosiernego Boga o zbawienie nieśmiertelnej duszy Pana, która może już wkrótce stanie przed sądem Jego, by zdać sprawę ze wszystkich swych czynów.

Proszę mi darować śmiałość, z jaką odważyłem się pisać do Pana, gdyż kieruje mną jedynie pragnienie wyświadczenia Mu największej usługi; mogę zaś uczynić to z pomocą Tego, który wybiera niekiedy narzędzie najsłabsze dla dokonania rzeczy największych. Jakże się będę czuł szczęśliwy, jeśli odpowiedź Pańska będzie zgodna z uczuciami, jakie żywię w sercu dla Niego i t. d. Podpisano: ks. Gaultier (u p. Guibert'a rzeźbiarza królewskiego, ulica de Sève, blisko Bulwarów). Paryż 20 lutego 1778 r.

O tym liście z dnia 20 lutego mówi Wagnière tak: „W tym czasie pewien ex-jezuita, nazwiskiem ks. Gaultier napisał doń list, ofiarowując swe posługi duchowne, jeśli się nadarzy sposobność. Wolter podziękował mu również listownie. Ksiądz przyszedł go odwiedzić i zostawił swój adres. Po wyjściu księdza zapytałem mego drogiego mistrza, czy był zadowolony z tej wizyty. Odpowiedział mi, że to poczciwy głupiec".

Jak naprawdę wyraził się Wolter — trudno twierdzić; w każdym razie na list księdza natychmiast odpowiedział: „List księdza, według mego zdania, jest listem uczciwego człowieka i to mi wystarcza, abym się zdecydował na przyjęcie zaszczytnej dla mnie wizyty Księdza w dniu i godzinie, przez Niego wyznaczonej. Ja Księdzu powiem to samo, com powiedział dając błogosławieństwo wnukowi sławnego i mądrego Franklina, człowieka, otoczonego czcią największą w Ameryce. Wypowiedziałem wtedy tylko te słowa: Bóg i wolność. W podniosłej tej chwili wszyscy obecni płakali ze wzruszenia. Myślę, że i Ksiądz jest tegoż zdania. Mam 84 lata niebawem stanę przed Bogiem, Stwórcą wszechrzeczy. Jeśli Ksiądz ma mi cokolwiek do zakomunikowania będę sobie uważał za obowiązek i zaszczyt przyjąć Go u siebie, pomimo cierpień które mnie dręczą. Mam honor pozostać dla Księdza i t. d. podpisano: Wolter 20 lutego 1778 roku.

Po takiej odpowiedzi Ksiądz Gaultier przybywa i wprowadzony do salonu, zastaje filozofa wśród licznego i doboro-

wego towarzystwa. Wolter podszedł do księdza, wziął go za rękę i, przepraszając towarzystwo, że je opuszcza, zaprowadził go do swego gabinetu. Na zapytanie Woltera gość odpowiedział, że nie jest przysłany ani przez arcybiskupa, ani przez proboszcza od św. Sulpicjusza, że przybył tu jedynie ze względu na dobro duszy filozofa; przytem dodał: „Ksiądz Lattaignant, przyjaciel Pana dopiero co odbył spowiedź z całego życia, co mu zapewniło spokój sumienia; i ja i on życzymy Panu tegoż samego szczęścia. W tej sprawie służyłem mu za narzędzie Boga i obecnie czułbym się bardzo szczęśliwy, gdybym i panu mógł służyć pomocą". W toku rozmowy Wolter oddawał pochwały Jezuitom, swym dawnym nauczycielom szczególniej zaś O. Parée, podziękował ks. Gaultier za wizytę i zaproponował mu nawet osobistą interwencję w celu wynagrodzenia jego zasług, na co ksiądz odpowiedział, że jedyną zapłatą, o której marzy, jest nawrócenie duszy starca do Boga. Po takiej rozmowie ksiądz wyszedł, otrzymawszy pozwolenie odwiedzenia filozofa jeszcze raz.

Ponieważ plucie krwią nie ustawało, wzbudzając lęk o życie Woltera, więc proboszcz od św. Sulpicjusza ks. Tersac, uważał, za swój obowiązek nawiedzić chorego i został przez niego przyjęty. Podczas tej wizyty proboszczowi zdawało się, że przekonał Woltera, iż nieodzownym wstępem do przyjęcia Sakramentów św., ma być publiczne odwołanie błędów i zgorszeń, jakie w ciągu życia uczynił. Kiedy jednak ks. Tersac pokazał Wolterowi szemat odwołania, aprobowany przez arcybiskupa, filozof odpowiedział: „Jestem z szematu zadowolony i uważam go za dobry, są jednakże pewne usterki w stylu, a to już do mnie należy. Proszę mi to zostawić, w przeciągu 24 godzin uskutecznię moje poprawki". Jak się następnie okazało, Wolter mówił to wykrętnie, chcąc jedynie zyskać na czasie.

* * *

Nie forma jednak, lecz sam fakt odwoływania, niepokoił, filozofa. Szczególniej mieszał mu szyki proboszcz od św. Sulpicjusza, działający według wskazówek Arcybiskupa; ksiądz Gaultier bowiem, mniej przezorny, więcej dostosowywał się do Woltera i jego otoczenia. Z tego więc względu i Wolter i jego siostrzenica, pani Denis, zwracali się listownie do ks. Gaul-

tier w dniach 26 i 27 lutego z prośbą, by raczył nawiedzić chorego w hotelu de Villette. Pani Denis przyjęła księdza sama, opowiedziała o wizycie proboszcza ks. Tersac, i o tem, że namawiał chorego do wyspowiadania się, lecz—dorzuciła—„chory ma zaufanie tylko do księdza i dla tego odpowiedział proboszczowi, że może się wyspowiadać tylko u niego".

Toteż w trzy dni po tej wizycie ks. Gaultier był dopuszczony znowu do chorego, który powitał gościa temi słowy: „chcę się przed księdzem wyspowiadać, zanim przyjdzie śmierć". Po wymianie słów wzajemnego zaufania, Wolter czyni znak krzyża świętego i rozpoczyna Confiteor. Lecz kapłan go powstrzymuje mówiąc, że przedewszystkiem należy spełnić obowiązek, czyli uczynić publiczne i własnoręcznie podpisane odwołanie zgorszeń, jakie penitent dał w ciągu życia.

Filozof wzywa na on czas swego sekretarza, prosi go o papier, poleca mu, by go zostawił samego z „ks. Gaultier jego przyjacielem", wreszcie pisze i podpisuje własnoręcznie odwołanie tej treści:

„Ja, niżej podpisany, oświadczam, że, mając 84 lata, od czterech dni mam silne krwotoki i wskutek tego nie mogę się dowlec do kościoła. Ks. proboszcz od św. Sulpiciusza zechciał do swych pięknych czynów dołączyć i ten, że raczył mi, przysłać ks. Gaultier, kapłana, przed którym się wyspowiadałem, i, jeśli wolą Bożą jest, bym umarł, chcę umrzeć w wierze katolickiej, w której się urodziłem. Mam nadzieję w miłosierdziu Bożem, że ono raczy mi darować wszystkie moje błędy i, jeślim kiedy dał zgorszenie Kościołowi, to za nie i Boga i Kościół proszę o przebaczenie. Podpisano: Wolter, 2 marca 1778 r., w domu markiza de Villette, mojego przyjaciela, w obecności księdza Mignot, mojego siostrzeńca, i markiza de Villevieille, mego przyjaciela. Podpisano: Mignot, Villeville."

W istocie, na prośbę Woltera, ks. Gaultier zawołał księdza Mignot i markiza de Villevieille, których przedtem poprosił o wyjście; ci przeczytawszy deklarację własnoręcznie ją podpisali. Ks. Gaultier po przeczytaniu onej zwrócił uwagę choremu, że deklaracja wydaje mu się niewystarczającą a nawet dwuznaczną i że musi ją przedłożyć Arcybiskupowi.

D'Alembert, Diderot i Marmontel których, ksiądz Gaultier spotkał przy wyjściu, ostentacyjnie okazali mu swe nie-

zadowolenie z powodu jego wizyty u filozofa. Skutków tego niezadowolenia ksiądz miał doświadczyć niebawem.

Od pierwszego spojrzenia arcybiskup de Beaumont przeniknął podstęp owego odwołania, poczem udzielił ks. Gaultier szczegółowych wskazówek, jak winien w danej sprawie postępować, wobec tego, że ma do czynienia z człowiekiem dalekim od prostoty i szczerości.

* * *

Ostrożności te okazały się zbędne. Gdy nazajutrz ksiądz Gaultier przyszedł dokończyć swej pracy nad chorym, zastał drzwi hotelu de Villette zamknięte i choć kilkakrotnie próbował dostać się wewnątrz, za każdym razem był przez szwajcara grubiańsko odsunięty tak, że nawet nie mógł zostawić swej karty wizytowej. Na list, adresowany do Woltera, ks. Gaultier otrzymał dwunastego dnia krótką, obejmującą cztery wiersze, odpowiedź, że filozof będzie miał przyjemność go przyjąć, gdy stan jego zdrowia się poprawi.

Tymczasem choć zdrowie widocznie się poprawiało i drzwi dla wszystkich były otwarte, kapłanowi wstęp był wzbroniony. Ks. Gaultier w bardzo serdecznym i uprzejmym liście przypomina Wolterowi jego obietnicę, ale list pozostaje bez odpowiedzi, a filozof, odzyskując wraz ze zdrowiem swój ordynarny cynizm, szydzi przy stole: „Podróż moja do Paryża udała się doskonale, zostałem wygwizdany w teatrze, a — wyspowiadany w domu."

Pamiętniki de Bachaumont'a przytaczają pewien szczegół z czasu choroby filozofa. Gdy Wolter oznajmił lekarzowi Lorry, przyjacielowi markiza de Villette, i jeszcze drugiemu niedowiarkowi, że się wyspowiadał, na twarzy tego ostatniego przemknął uśmiech politowania, co widząc filozof rzekł: „Więc pan uważa mnie za tak wielkiego bezbożnika?" Na to zręcznie odpowiedział Lorry: „Pan się lęka, by o tem wiedziano, a przecież to stanowi Pana sławę".

Zresztą, dodał Wolter, nie chcę, aby moje ciało rzucono na śmietnisko. Wszystko jest mi wstrętne te klechy męczą mnie; jestem jednak w ich rękach i muszę wydostać się stamtąd.

Wiadomo zresztą, że Wolter lękał się zawsze tego, by, jak się wyrażał—ciało jego nie zostało po śmierci wyrzucone na śmietnik; ten lęk był też przyczyną jego świętokradzkiej

Komunji św. Wielkanocnej, którą, jak wiadomo, dał publiczne zgorszenie w Ferney 1769 r.

W jakiś czas potem p. Linguet umieścił w „Annales" odwołanie Woltera, a markiz de Villette w „Courrier de l'Europe" odwołanie tegoż odwołania. Ostatecznie La Louptière ułożył złośliwy epigramat ku uciesze całego Paryża, który bawił się kosztem wszystkich, biorących udział w tej sprawie.

Epigramat ów brzmi:

„Wolter i Lataignant, obaj usposobienia miłego,
Złożyli swe wyznania u spowiednika jednego.
Mogło to być u Gaultier'a, czy u Gardillego.
Dość że Gaultier lepiej nadawał się do tego
Obaj we czci jednacy, lecz dla względów namacalnych
Odpowiedniejszy był o wiele kapelan nieuleczalnych."

Tymczasem Wolter bardziej niż kiedykolwiek żądnym był pochlebstw; świadomi tego jego zwolennicy postanowili dostarczyć mistrzowi wawrzynów tryumfu teatralnego w dniu 30 marca, kiedy to już po raz szósty wystawiano w teatrze jego „Irenę".

Wolter udał się tam w towarzystwie pani de Villette i pani Denis. Skoro ujrzano go w loży, ze wszystkich stron rozległy się entuzjastyczne oklaski. Aktorzy przerywają akcję na scenie, a jeden z nich z wieńcem w ręku schodzi z estrady, zbliża się do starca i przy pomocy pani Denis wieńczy jego skroń. Wolter, przejęty do głębi, wznosi ręce do góry i woła: „Uznanie to śmierć mi przyśpieszy!"

W tejże chwili kurtyna, spuszczona podczas ceremonji wieńczenia, podnosi się i oczom wszystkich ukazuje się w głębi estrady biust filozofa, otoczony aktorami i aktorkami. Jedna z nich, Pani Vestris, powstaje i powtarza tęż samą ceremonję z biustem, jaka dopiero co dokonała się z Wolterem. Wczasie tego jeden z aktorów wygłasza płytką poezję na cześć bohatera dnia.

Nazajutrz cały ten „tryumf" został wyśmiany w uszczypliwych wierszykach i podobiznach satyrycznych.

Wolter miał wrócić za dwa dni do Ferney, lecz Akademja Francuska mianowała go dyrektorem Towarzystwa. Godność tę filozof przyjął, a tem samem zobowiązał się do pozostania w Paryżu jeszcze trzy miesiące,

W kilka dni potem, dnia 7 kwietnia, Wolter został członkiem loży masońskiej „Neuf-Soeurs” o czem świadczy „wyciąg z tablicy ogłoszeń Czcigodnej Loży Noeuf-Soeurs, Wielkiego Wschodu Paryża, dnia siódmego, czwartego miesiąca, roku prawdziwego światła 5778”, a ogłoszony w korespondencji jego przyjaciela Grimm'a". Po przeczytaniu znaków, słów i dotknięć. Brat (mason) de Voltaire zajął miejsce w Wielkim Wschodzie obok Czcigodnego. Jeden z braci Kolonny de Melpomese włożył na jego głowę wieniec z wawrzynu, który Wolter pospiesznie zdjął. Czcigodny przepasał go fartuchem Brata Helwecjusza, który wdowa po tym sławnym filozofie złożyła do loży Neuf-Soeurs, podobnie jak i inne masońskie insygnia używane przez niego. Brat Wolter przed otrzymaniem fartucha chciał go pocałować, a gdy otrzymywał kobiece rękawiczki, powiedział do Brata markiza de Villette: „Ponieważ one są symbolem uczciwego, tkliwego i zasłużonego przywiązania więc proszę je oddać „Pięknej i Dobrej" (Markiza de Villette).

Ostatnie chwile życia tego człowieka, zarówno czynnego jak szkodliwego, zajął projekt następujący:

Wolter nie mógł przeboleć niepowodzenia „Ireny” na scenie. Chcąc poruszyć opinję publiczną i zjednać ją dla siebie, umyślił wciągnąć do swego rydwanu Akademję francuską, skłaniając ją, by w nowem wydaniu używała jego osobistej ortografji, polegającej na uproszczeniu pisowni, czyli na pisaniu słów tak, jak brzmią w mowie, (pisownia fonetyczna).

Było to wielkiem i trudnem przedsięwzięciem, tembardziej, jeśli się zważy, że człowiek, który się tego podejmował, miał już 84 lata. Wolter więc przygotowuje swe plany, przejmuje się niemi, wkłada w nie całą duszę, całe dnie poświęca na konferencje ze swymi kolegami z Akademji, by im dokładnie wyłożyć swoje projekty. Poza rozumowemi dowodami silne płuca są w takich razach niezbędne; chcąc zatem mieć silniejszy głos, uciekł się filozof do niewinnego fortelu z kawą i wypił potajemnie 18 filiżanek takowej, a podnieciwszy się w ten sposób, udał się do Komitetu przygotowawczego. Całą pracę podzielił Wolter według alfabetu, sam wziął literę A, a inne dwadzieścia cztery podzielił między kolegów. Było to jednak przyczyną szczególniejszego rozdrażnienia filozofa, gdyż wielu z nich przez wyraźny sprzeciw lub niechęć do współ-

pracy bardzo boleśnie go dotknęło. Krew burzyła się w nim, głowa rozpalała się, sen całkowicie zniknął. Aby mu go przywrócić, podano starcowi małą buteleczkę likieru, którą Wolter wypił odrazu, zamiast rozdzielić na 3 lub 4 dawki: stąd wynikło straszne wzburzenie nerwów, które usiłowano uspokoić, dając mu do przyjęcia opjum. Srodki te pogorszyły jeszcze bardziej stan chorego i gdy przybył lekarz Tronchin, którego w pośpiechu wezwano, Wolter odezwał się doń: „Na ten raz nie Pana mi potrzeba, proszę mi przywołać lekarza warjatów!".

W liście, napisanym w kilka dni po śmierci filozofa, Tronchin oznajmia, że był to „najokropniejszy stan rozpaczy i szaleństwa".

Zawezwany Try, sławny chirurg z ulicy du Bac, powierzył opiekę nad chorym żonie Roger'a, a do zwykłej posługi przeznaczył swego ucznia Brizard'a. Po kilku dniach, cierpienia stawały się coraz okropniejsze i zapowiadały straszny koniec.

Tłumaczył z francuskiego.
O. Aleksander Paulin.

(dok. nast.)

O przyjaźni.

Różne związki łączą ludzi pomiędzy sobą, ale jest jeden związek najszczytniejszy, najcenniejszy, najpożądańszy, lecz i najrzadszy, a tym jest przyjaźń. Choć o przyjaźni i przyjaciołach dużo i często się mówi, jednak spotkać przyjaźń prawdziwą jest rzeczą dość trudną, tembardziej, że pod nazwę przyjaźni ppdszywają się często inne cechy charakteru ludzkiego, zupełnie odmienne dążności, które pod pozorem przyjaźni kryją w sobie obłudę, pochlebstwo, wyzysk, a często zdradę i najzwyczajniejsze oszustwo.

Młodzież naogół jest skłonna do zawierania stosunków koleżeństwa, przyjaźni i ona najbardziej narażoną jest na ciężkie zawody pod tym względem. By nie paść ofiarą przyjaźni fałszywej, trzeba zdawać sobie dobrze sprawę ze samej idei przyjaźni, z jej cech nieodzownych, być świadomym, z kim przyjaźń prawdziwa jest możliwa, a z kim niebezpieczna i zgubna.

Cóż tedy jest przyjaźń? — Jest to odmiana miłości, jest to miłość szczególna, wyjątkowa. Bóg sam, który według wyrażenia św. Jana Ap. jest *Miłością*, stwarzając człowieka na obraz i podobieństwo swoje, dał mu skłonność i zdolność do miłowania. Ta skłonność jest wrodzoną i bez niej człowiek byłby nienormalnym. Miłujemy zawsze coś lub kogoś i stąd mamy różne odmiany miłości: miłość Boga, miłość własną, miłość rodzicielską, synowską, małżeńską, miłość koleżeńską, przyjacielską, miłość nauki, sztuki, rozkoszy, bliźniego, Ojczyzny i t. d.

Istota przyjaźń polega na miłości, lecz tutaj ta zachodzi między niemi różnica, że kiedy podmiot miłujący jest czynny, to przedmiot miłowany może byc najzupełniej biernym i żadną miłością nie odwzajemniać się, czy to świadomie, jeżeli chodzi o osobę, lub wzajemność będzie niemożliwą, jeżeli miłujemy przedmiot nierozumny lub ideę; natomiast w przyjaźni wzajemna miłość jest rzeczą nieodzowną, jest warunkiem, bez którego miłości przyjacielskiej być nie może.

O miłości mówią, że jest ślepą. Jest w tem część prawdy, a zachodzi to wtenczas, gdy jest mowa o miłości zmysłowej, cielesnej, która może stać się prawdziwą chorobą duszy i ciała. Nic podobnego nie może być w przyjaźni, niema tam miejsca na zaślepienie, bo „cnota — to najwyższy rozum“, jak mówi Arystoteles, „a przyjaźń, jest cnotą, albo czemś, co z cnotą zawsze chodzi w parze“. I obserwacja życiowa to potwierdza, że bez cnoty przyjaźń jest wątpliwa, pozorna i tam upada, gdzie cnota ustępuje.

Miłość przyjacielska jest bezinteresowną; przyjaźń oparta na stosunku wzajemnej korzyści, zysku, przyjemności, rozkoszy nie godną jest nazwy przyjaźni. Nie jest przyjaźnią przelotna wzajemna sympatja, chwilowa wymiana wzajemnych usług w podróży, towarzystwie. Podstawą prawdziwej przyjaźni jest wzajemna życzliwość, ale nie byle jaka, lecz stała, trwała, na cnocie oparta i ujawniająca się w mniej lub więcej częstej wymianie myśli, uczuć i usług wzajemnych.

„Na każdy czas miłuje, kto jest przyjacielem (ks. Przyp. XVII, 17)“.

„Przyjaźń, która może ustać, nigdy prawdziwą nie była (św. Ambr.)“.

„Amicitia in malo esse non potest (św. Aug.)“.

Ważną jest rzeczą znać cechy, któremi przyjaźń prawdziwa różni się od fałszywej. Cechy te określono wierszem: „amicus cernitur *amore, more, ore, re*“. Przyjaźń więc za cechę pierwszą ma miłość, powinna przeto posiadać wszystkie przymioty miłości, dlatego ma być cierpliwą, wolną od zazdrości, nie szukającą swego, lecz wszystko w przyjacielu znoszącą, prócz trwania w złem; w życzliwości swej niezachwianą i jedno tylko mającą na celu, aby u przyjaciół było jedno serce, jedna dusza, jeden Bóg. Taka przyjaźń na miłości wzajemnej oparta nie ukryje się, ona da znać o sobie tą promienistością, która takowej przyjaźni jest właściwą.

Przyjaźń zmierza ku temu, aby zaprzyjaźnione osoby coraz ściślej duchowo jednoczyć, a do ścisłego zjednoczenia nadają się tylko rzeczy, lub osoby mniej więcej do siebie podobne; przyjaźń przeto prawdziwa bywa tylko tam, gdzie zachodzi pewna zgodność charakterów, dążeń, idei. Ostateczności, stykające się nieraz w miłości zmysłowej, w przyjaźni prawie nigdy się nie stykają. Przyjaźń zawiązuje się i rządzi aforyzmem: „Similis simili gaudet“. Wniosek więc z tego jasny, że prawdziwa przyjaźń nie może istnieć między szlachetnym, a nieuczciwym, rozumnym, a półgłówkiem, pobożnym, a bezbożnym. Potwierdzenie tego znajdujemy u św. Pawła, który mówi: „co za uczestnictwo sprawiedliwości z nieprawością, albo co za towarzystwo światłości z ciemnością... albo co za część wiernemu z niewiernym (II kor. VI, 14 - 15)“. Gdy więc zachodzi między zaprzyjaźnionymi wielka niezgodność w charakterach, upodobaniach, poglądach,, dążnościach, oraz gdy wartość moralna jednego nie odpowiada wartości drugiego, tedy ze wszelką pewnością można orzec, że taka przyjaźń jest wątpliwą, pozorną, a nigdy prawdziwą, Poznaje się więc przyjaźń *more* t. j. w obyczajach.

Prawdziwa przyjaźń jest stosunkiem wzajemnej życzliwości, przeto objawiać się powinna *ore* t. j. w słowach życzliwych względem tego, z kim się zaprzyjaźniło. Czytamy w Piśmie św.: „kto ciska kamieniem na ptaki, spędzi je, taki który łaje przyjacielowi, rozrywa przyjaźń (Eklezjastyk XXII, 25)“. Wprawdzie nie każdy, kto nam przygania, jest nam nieżyczliwym, jak również nie każdy, kto nas chwali, jest nam oddanym, to jednak przyjaźń prawdziwą łatwo można poznać ze sposobu, w jaki ona przejawia się w słowach. Prawdziwa przyjaźń i najostrzejszej

naganie potrafi nadać cechę serdecznej życzliwości, bo będzie połączona z delikatnością serca, natomiast obłuda i w najlepiej obmyślanych pochwałach pod naszym adresem zdradzi swoją powierzchowność uczucia, przesadę i afektację, jeżeli tylko nie będziemy mieli umysłu, przyćmionego wybujałą miłością własną. Owszem krytyka od przyjaciela jest najpożądańszą, bo wolną od zazdrości, której źródłem jest życzliwość ku nam. Jednak trzeba być uważnym i roztropnym, by jakąś porywczością, wyrokiem, słowem gminnem, czy uszczypliwym przyjaźni na szwank nie narazić, trzeba zawsze się liczyć z miłością własną przyjaciela.

Nakoniec przyjaciel poznaje się w czynie — in *re*. Jest to cecha może najważniejsza i najpewniejsza. Gdzie niema wzajemnej pomocy w potrzebie i uczynności, gdzie niema ofiary i poświęcenia, tam przyjaźń jest złudzeniem, po którem następuje bolesne oprzytomnienie; przyjaźń bez usług przyjacielskich trwa do czasu tylko, lecz w końcu prędzej czy później musi być zerwaną. Mówi Pismo św.: „Nie zapamiętywaj w myśli swej przyjaciela swego, ani go przepomnij w bogactwach swoich (Eklezj. XXXVII, 6)"; „utrać pieniędzy dla brata i przyjaciela (Tamże XXIX, 13)". Nie małej potrzeba roztropności, aby odróżnić przyjaciół prawdziwych od fałszywych, miłujących nie osobę przyjaciela, lecz jego np. bogactwo, stół wykwintny, wspólne zabawy grzeszne uciechy. Tacy udają przyjaźń, dopóki to jest dla nich dogodnem i korzystnem, natomiast gdy się zażąda od nich jakiej ofiary czy pomocy, — przyjaciel się ulatnia, a niekiedy staje się i wrogiem, płacąc złem za dobre. Przed takimi przestrzega nas Pismo św.: „Jeśli nabywasz przyjaciela, przez doświadczenie go nabywaj, a nie łatwo mu wierz. Bo jest przyjaciel według czasu swego, a nie wytrwa w dzień utrapienia. I jest przyjaciel, który się obraca do nieprzyjaźni, i jest przyjaciel, który nienawiść i swar i hańbę objawi. A jest przyjaciel towarzysz stołu, i nie zatraca czasu potrzeby. Przyjaciel jeśli wytrwa statecznie, będzie także jako rówieśnik, a między domowniki twemi bezpiecznie sobie poczynać będzie (Eklezj. VI 7 — 11)"

Przyjaźń prawdziwa jest rzeczą nieocenionej wartości, jest to bardzo wielki dar Nieba, jest to przedmiot godny największego pożądania. Jakże często czujemy się samotni: niema,

ktoby nas wyrozumiał, pocieszył, dodał otuchy w trudnościach i niepowodzeniach życiowych; nie mamy z kim podzielić swoich myśli, pragnień, idei i dążeń! Jakże często sprawdzają się słowa Pisma św.: „Vae soli“ — biada samemu! W takich okolicznościach postawieni, zrozumiemy dopiero doniosłość cytowanej powyżej księgi Eklezjastyka: „Wiernemu przyjacielowi nie masz porównania i nie masz godnej wagi złota i srebra przeciw dobroci wiary jego. Wierny przyjaciel lekarstwo żywota i nieśmiertelności, a którzy się boją Pana, znajdą go. Wierny przyjaciel jest obrona mocna, a kto go znalazł, skarb znalazł (VI, 15 — 17)“. Kasjodor, pisarz kościelny (+ 575) mówi: „Bez przyjaciół wszelka praca umysłowa byłaby nudą, wszelkie zajęcie — utrapieniem, cała ziemia — obczyzną, całe życie męczarnią; życie nieosłodzone przyjaźnią, nie wiele więcej byłoby warte od śmierci“. Św. Ambroży woła: „Jakaż to osłoda w życiu, gdy mamy przed kim swe serce otworzyć, komu sekret powierzyć, gdy mamy kogoś życzliwego, kto nam w szczęściu winszuje, w smutkach współczuje, w prześladowaniach radą pomaga.

A jeśli droga życiowa nie da nam spotkać prawdziwego przyjaciela, nie smućmy się i nie rozpaczajmy, bo człowiek wierzący, katolik konsekwentny nigdy nie jest zupełnie sam, jest z nim Zbawiciel jego, który mówi: „Wy jesteście przyjaciółmi moimi, jeśli czynić będziecie, co ja wam rozkazuję (Jan XV, 14)“. Wtedy czynimy to co on rozkazuje, gdy trwamy w łasce poświęcającej, kiedy gotowi jesteśmy codzień przyjąć Go w komunji św., a wtedy Boski Przyjaciel da nam wszelką pomoc i oparcie w walkach życiowych, On wzmocni i zapali, byśmy nigdy nie zeszli z drogi ideału.

Ks. J. Matulewicz.

Kilka wrażeń z Powsz. Wystawy Krajowej w Poznaniu.

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie“!
(Kochanowski).

Zaiste, słowa poety przypominają nam się na każdym kroku przy zwiedzaniu naszej wspaniałej Wystawy w Poznaniu!..

Wystawa ta odkryła światu i nam samym Polskę! Nie wiedzieliśmy, że umiemy pracować twórczo na tak zwaną miarę europejską! Wpajano nam pojęcia, którym po części nawet uwierzyliśmy, że jesteśmy w każdym kierunku, jako słowianie, daleko poza linją twórczości szczepów romańsko-germańskich. Dzieje się dotąd z nami to samo, czem sami grzeszymy, wraz z całą Europą, wobec ludów innych ras, uważając siebie niesłusznie za wyższych od tamtych.

Dziś, patrząc na ten niezwykły pokaz pracy, polskiej, jaki nam daje Powszechna Wystawa Krajowa, stajemy zdumieni!.. A więcej od nas zdumiewają się obcy, chociaż właśnie oni lepiej, niż my sami, poznają się na naszych wartościach, bo to, co my mamy jeszcze przed sobą, oni już przeszli, i, chcąc zachować swoje miejsce w zjednoczeniu państw europejskich, *właśnie dlatego* kryli i jeszcze kryją, pod swoją firmą, prace Polaków, dokonywane dla nich zagranicą.

Cześć wyraźmy wystawcom naszym! Każdy z nich dał bowiem to, co miał najlepszego, i dał sercem otwartem! Cześć im za trud mozolny, precyzyjny, twórczy, podjęty w imię idei! Wy właśnie, nieznani Pracownicy, jesteście istotnymi twórcami Polski, do jakiejkolwiek dziedziny twórczości należycie!.. *Wy* to budujecie przyszłość Polski swemi specjalnościami, w które wkładacie swe zamiłowania i zapał twórczy!..

Niema bodaj zakresu pracy polskiej, któryby na Wystawie nie posiadał przeglądu statystycznego. I dlatego właśnie, w odróżnieniu od Wystawy Barcelońskiej, — na oko może okazalszej od naszej, nasz wysiłek narodowy ma raczej charakter naukowy i muzealny, z pewnością wartoby umieścić statystyczne te skarby w jakiejś centrali i rozwozić, wraz z wykładami, po całej Polsce!.. Wpierw jednak należałoby obowiązkowo zarządzić spisanie kompletne zawartości każdego pawilonu dla zbiorowego ilustrowanego katalogu Wystawy. Szkodaby było, by te śliczne zasoby wiedzy o Polsce miały się rozejść bez poprzedniego upamiętnienia ich na zawsze! Niema bowiem większej uczelni polskiej nad Poznańską Wystawę! Orzekł ktoś, że z takiemi materjałami możnaby pisać prace naukowe dla najwyższych egzaminów. Tym, którzy tej uczelni polskiej nie zwiedzili, a zwiedzić nie mogli, żal będzie kiedyś niedopełnienia swej obywatelskiej powinności!..

Już dziś odczuwamy, z pewnością brak Wystawy z chwilą, gdv 30 września o 6 popoł. zamknęli ją na zawsze! Poznań stracił swą nadzwyczajną siłę atrakcyjną, jaką ściągał do siebie tego lata ludzi z całego świata i może wróci do swych dawnych nastrojów, w pomniejszonych ramach!.. Teraz ma on tę wielką zasługę, że dał krajowi grunt dla dzieła *całej* Polski, łącząc w ten sposób wszystkie dzielnice w jedną wielką, zgodną, szczęśliwą rodzinę, prześcigającą się przez swych członków w talentach, twórczości i pracowitości. Dokazaliśmy z pomocą Bożą, prawie cudu—cudu pracy—i chcielibyśmy teraz, by taka atmosfera ustaliła się na zawsze, bo nam z nią dobrze!..

Pojęliśmy bowiem, że tylko praca twórcza ma znaczenie na przyszłość, gdyż każda inna z ledwością otrzymuje tylko to, *co jest*, nic nie dając! A tworzyć nam dużo! i z wiarą w siebie za tyle prawdy, jaką teraz mamy jeszcze przed oczyma! Już nie pozwalajmy poniżać się niżej tej objawionej, poznanej prawdy!..

Mamy przed sobą jeszcze dużo pracy i to daje nam przekonanie i radość, że w tym wyścigu pracy i zadań rączość nasza nie ustanie, lecz się wzmoże i utrwali, gdyż jedna czynność tworzy drugą, niosąc mechanicznie rozwój i powodzenie. W takim tempie twórczości samo się dzieje, iż przybywa nam energji i rozmachu i zdolności. Błogosławiona ta wielka, wysilna praca ludzka, która każdego członka społeczeństwa *zniewala* do dzieła i na wszystko *czas* niesie, odsuwając zarazem poza nawias praw do poważania tych ludzi niegodnych, którzy w tak ważnych chwilach nie poczuwają się do właściwej sobie twórczości!..

— Chodziłam na Wystawę *uczyć się o Polsce*, którą zawsze jeszcze za mało znamy. Przyjrzałam się szczególnie sprawom Polaków zagranicą i kresów wschodnich Polski. Dwie te dziedziny łączą się ze sobą: Gdyby kresy przyciągnęły naszą ludność do siebie, toby ona nie potrzebowała co roku powiększać o 150 tys. naszej emigracji, złożonej już i tak z 7—10 miljonowego tłumu, rozproszonego dla chleba po całym Bożym świecie. Gdzie nas niema?.. Po 2 tysiące w Turcji, i w Afryce, nawet w Australji tysiąc. Rząd Polski skierowuje emigrację masową do Parany w Ameryce Południowej, a jednostkowo—grupową do Angoli w Południowo-zach. Afryce — gdzie spodziewa się uzyskać 10% obszaru kolonij niemieckich, przedwojennych, na terenach Angoli, Toga, Kamerunu i wschodnio-południowej Afryki.

Mało znanym jest światu fakt, że Kamerun, wówczas jeszcze przez nikogo nie zajęty, skolonizowali koło 1880, dwaj polscy inżynierowie: Stefan Rogoziński i Leopold Janikowski, emigranci z r. 1863. „Gdy nie można było utrzymać samodzielności Kamerunu, oddali Polacy najlepsze porty i najdroższe okolice w ręce Anglji". —jak pisze ks. Panaś w swym bardzo ciekawym artykule p.t.: Polacy w pracy misyjnej i kolonjalnej, drukowanym 1928 w kilku pismach w Polsce. (Po bliższe informacje odsyłamy do Sz. Autora: Lwów. Kościół św. Mikołaja).

Wogóle, dzieje Polaków w pracach kolonij świata są bardzo ciekawe, tembardziej że nieznane, a nawet zapoznane i dokonywane na dobro obcych bezimiennie. (Najczęściej). Dzieje tych pionjerów kultury, jak i historja naszych polskich misjonarzy godne są uwagi w studjach naszej młodzieży akademickiej.

Nie zaliczam do terenów emigracyjnych wolnego miasta Gdańska, jak to czasem się czyta, gdyż pozostaje prawnie pod patronatem Polski, z którą mu jest dobrze. Z zaciekawieniem spostrzegamy udział Gdańska w dziale gospodarczym naszej Wystawy, a natomiast brak udziału w sekcji naukowej, w której nie podał swej Politechniki, i w sekcji religijnej, w której, jak wiadomo, oddany jest Gdańsk przez najwyższe władze kościelne pod jurysdykcję Nuncjusza Papieskiego w Polsce...

Ksiądz biskup gdański nie bywa na obradach Episkopatu w Polsce, a towarzystwa swej djecezji notuje, dla statystyk i dla współpracy, nie w Polsce, lecz w Niemczech.

Polacy zagranicą mają to do siebie, że łączą się lepiej niż w kraju, i uwydatniają wśród obcych bardziej swoje dodatnie przymioty. Z tej racji niewątpliwie oddziałują na swe nowe otoczenie. Wpływ ten wzmoże się jeszcze, gdy rodacy nasi stosownie do swych próśb, wyrażonych na Zjeździe Emigracji w Warszawie w r.b. otrzymają wystarczającą opiekę duchową z Polski. Jak czytamy w komunikatach Katolickiej Agencji Prasowej w Warszawie przygotowuje się w Polsce Seminarjum dla duchowieństwa wśród Polaków zagranicą. Nawet ludzie skądinąd dla tej idei nieprzychylni, stwierdzają, że właśnie kapłan polski przyczynia się najbardziej do utrzymania rodaków tych w ideałach, o jakie państwu szlachetnie chodzi.

Wszelkie sprawozdania Wystawy unaoczniają nam fakt, że najbardziej zaniedbaną dzielnicą Polski są kresy wschodnie. Nie-

podobna przypuścić, by wspólny wysiłek nas wszystkich nie zdołał ukształtować sprawy tej w każdym kierunku na lepsze. Idzie więc z owych stron nieme wołanie, by jednakże kierować najpilniejszą uwagę, serca całe, w te odsunięte niejako od całkowitej gospodarki polskiej ziemice, aby czuły się z nami bardziej jednością i były na tyle szczęśliwe, co inne dzielnice naszej ojczyzny.

Przy tej sposobności z łatwością stwierdzamy, że zawsze jeszcze za mało znamy się ze sobą—dzieci jednej Matki. Nie znamy języków mówionych przez mieszkańców naszej ziemi, chociaż nic tak nie zbliża narodów do siebie praktycznie, jak znajomość języków. Francuskie wykłady poznańskiego radja łączą nas z Francją. Może być, mamy nadzieję, że doczekamy się w radjo z czasem także nauki języków słowiańskich.

Poznańska Wystawa, powodująca istną wędrówkę narodów, nietylko słowiańskich, zaznajomiła nas z ludami Europy i poza Europy i własnego kraju i powyższe braki właśnie wykryła. Wystawa najbardziej pozyskała nam Słowian. Z pewnością wzmoże się teraz między nami współpraca nietylko gospodarcza i naukowa, ale i religijna, mianowicie dla akcji Unji Kościelnej, która śladem zagranicy obejmuje w Polsce już nietylko, jak dawniej, sprawy przyjęcia obrządku wschodniego dla przechodzących z prawosławia na katolicyzm, ale wogóle sprawy wszystkich inowierców-monoteistów, jakich w Polsce mamy, a więc, prócz prawosławnych: jeszcze protestantów, żydów i muzułmanów. Na tem miejscu zwracamy uwagę łaskawych czytelników na Towarzystwo i pismo: Unja, Kraków Karmelicka 21, zajmujących się Polakami-katolikami obrządku wschodniego.

Robiłam wzmianki o stosunkach Unji w Polsce na Pierwszej Polskiej Mapie Statystycznej Misyjnej Szkolnej, gotowej do druku w początku lipca 1929, a przeznaczonej dla Wystawy w dziale Wychowania Religijnego. (Po informacje w celu nabycia Mapy prosimy się zgłaszać do p. Kryzana: Poznań, Matejki 53).

Unji oraz Bliższemu i Dalszemu Wschodowi pragnie przysłużyć się także Instytut Wschodni w Warszawie Miodowa 7, dla Nauk i Kultur Wschodu. Instytut ten ofiaruje bezpłatną naukę misjonarzowi polskiemu. Dotąd jest zbyt mało znanym, a mógłby jednak tem być w Europie dla Wschodu, czem jest dla Afryki: Międzynarodowy Instytut dla języków i dla Kultur afrykańskich

w Londynie (Craven Street 22). Instytut ten, dla swej grupy katolickiej, doprasza się członków z Polski. (Zgłoszenie: RP. Dubois SJ. Roma. Borgo SSpiri o 5).

Nie zauważyłam na Wystawie ni Instytutu Wschodniego z Warszawy, ni Katolickiej Szkoły Społecznej w Poznaniu, ani Uniwersytetów Ludowych ks. Ludwiczaka. W sekcji Historycznej Ministerstwa Wojny (Wojskowe) nie widziałem między innymi obrazami naszych bohaterów wizerunku ks. Skorupki.

Nawiasem mówiąc, sądząc także podług eksponatów naszej Wystawy, odczuć można u nas pewien brak wykazów z życia wyznaniowego w Polsce, zaradzić mu może Biuro Statystyczne Katolickie — które niedługo pewnie powstanie oraz osobne urzędy statystyczne dla innych wyznań, jakie zresztą może już istnieją. Niezmiernie ciekawe pod względem religijnym w Polsce informacje podaje książka Piotrowicza: „Z Zagadnień wyznaniowych w Polsce", wyszła codopiero w Wilnie. (Bibljoteka: Zródło Mocy. Drukarnia Lux, Wilno, Portowa 7). Dziełko to traktuje sprawę ze strony historycznej i prawnej w Polsce.

Ponieważ jest mowa o kwestjach religijnych, wspomnę, że w dziale Sztuki Wystawy zauważyłam stosunkowo skromny odsetek dzieł z tej dziedziny, któreby mogły być przydatne dla naszych kościołów i zastąpić u nas wytwórczość zagraniczną. Niedostatek ten wypływa może i z braku współpracy między czynnikami zainteresowanymi, co stwierdzamy zresztą także na innych polach akcji społecznej, — współpracy, któraby jednak przyspieszyła rozwój i w tej naszej twórczości artystycznej, mającej wyrastać tak samo z pnia jaknajbardziej polskiego. Studjujemy taką dążność u obcych i podług niej orjentujemy się, coby w tym względzie zrobić należało i można, gdyż talenty są! Zresztą — może już i takie usiłowania przyoblekły się i w Polsce gdzieniegdzie już w czyn. chociaż niema o tem obfitszych wiadomości—niechże tedy styczność z zagranicą wyjawi nam nasze własne poczynania i pchnie ludzi u nas do śmielszej, wydajniejszej twórczości! (Adres takiej Instytucji w Belgji: Association Pelgrim, Anvers, Placae de Meir 42). W pawilonie Ziemianek zwrócono nam uwagę na firmę: Ars, Warszawa, Marszałkowska 149 Biuro Ziemianek, która ma na celu wprowadzanie motywów polskich do sztuki stosowanej.

Mamy więc polepszyć się w każdym kierunku, szczególnie tam, gdzie wierzchnią warstwę myśli, pracy i zapatrywań zakrywa nam sobą zawsze jeszcze idea zagraniczna. Poznań z pewnością zyskał dla swej polszczyzny przez Wystawę Krajową. Kto śledzi rozwój naszego miasta, ten spostrzega, że naogół poprawiło ono sobie język, na tyle, że często już nie widać w Poznańczyku naleciałości dzielnicowych.

Zwolna przywykamy zwać siebie w radjo po polsku w audycjach międzynarodowych — miasta—nazwiska—programy—tak, jak to gdzieidziej czynią już Czechosłowacja i Niemcy.

Skoro rozwiniemy w sobie nasze własne, istotne pierwiastki i pokazywać je będziemy światu już nie raz na 50 lat, ale na stałe, w międzynarodowej akcji społecznej, to może wreszcie przestaną do nas przychodzić wybitne gazety z Południowej Afryki z adresem: Poznań — Germany, (jak to dziś jeszcze ma miejsce, i nie spyta nas już nauczycielka w Wurzburgu, czy „Posen” należy właściwie do Polski czy do Niemiec!... i nie zadziwi się Anglik, gdy zobaczy u nas... koleje.

Chwile, jakie dała Polsce i światu Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu 1929, nie zatrą się!.. W dniu zamknięcia tego potężnego Pokazu Polski, podziękujmy za nasz dorobek Temu, Który dał „rosę z nieba” na nasze znikome, ludzkie wysiłki! „Nie nam, Panie, nie nam, lecz Tobie niech będzie chwała”...

Kazimiera Berkanówna.

Z powodu niedawnych walk o Nowy Prajer Buk w Anglji.

„*Antypapizm*“ w Anglji jeszcze nie zamarł. Zrywa się on od czasu do czasu, lecz jego echo jednak głuchnie coraz bardziej. W czasie wojny światowej Ruiduard Kipling popełnił jakiś wiersz w którym gwałtownie obrażał Papieża, i wyszła nawet wrzawa z tego powodu. Tenże sam jednak Kipling zawsze, choć nieraz nieznacznie, w swych powieściach religijnie nastrojony, jak każden zresztą dobry Anglik, pisze w swem opowiadaniu „*Kim*“, gdzie mówi o pewnym anglikańskim kapelanie wojskowym w Indjach, którego dość karykaturalnie zresztą

przedstawia, jak to również jest we zwyczaju w Anglji od czasu Walter Scotta, te znamienne słowa:

„*W przekonaniu Bennetta* (owego anglikańskiego clergymana właśnie) *między nim a rzymsko-katolickim kapłanem irlandzkiego pułku, leżała nieprzebyta przepaść, ale godnem była uwagi, że ilekroć kościół anglikański miał* (w jego osobie rozumie się, choć autor wyraźnie tego nie mówi, stawiając tu obszerny myślnik ideowy) *do rozwiązania jakiś problemat ogólnoludzki, odwoływał się zawsze chętnie do Rzymskiego Kościoła o pomoc*". Rzymski Kościół to ów irlandzki kapelan w konkretnym wypadku, ale i tutaj pozostawione nam jest wolne miejsce do rozmyślania.

Otóż napisane jest to zdanie z dziwną sprawnością obserwacji i z ciepłym humorem, godnym Anglika. Oczywiście, dla Kiplinga „*Kościół Anglikański*" i „*Kościół Rzymski*" to dwa wyrażenia, oznaczające poprostu odnośnych kapelanów. Ale, nie mniej godnem jest uwagi, że te wyrażenia doskonale mogą się stosować wprost, bez ogródek, a nie jako personalne omówienia. A wówczas będziemy właśnie stali na terenie nowego anglikańskiego *Prayer Booku.**) Chodzi nam tu tylko o zdanie sprawy z ruchu, który ta kwestja wywołała obecnie w Anglji a w którem odnajduje się właśnie i ten głuchawy już nieco „*antypapizm*", o którym tylko co wspominałem i to zwrócenie się chętne, Anglikańskiego Kościoła do Rzymskiego w ogólno-ludzkiej sprawie. Modlitwa bowiem i religja wogóle, to najbardziej ogólno ludzkie sprawy.

Tak, Kościół Anglikański, zaniepokojony w sumieniu tych ludzi którzy od niego odeszli i wciąż odchodzą (przecie jeno na angielskim froncie we Francji 40.000 ludzi przeszło na katolicyzm, jak mi mówiono w Paryżu na początku 1919 roku!) a również i tych, którzy by chcieli zostać, a zamało znajdują pokarmu, przeszukawszy i rosyjskie, (bez praktycznego skutku) i wschodnie prawosławie (z lepszym kościelnym skutkiem), zwraca się obecnie do Rzymskiego Kościoła, choć imienia jego nie wymawia. Przywraca bowiem, jeśli nie Mszę (której przywrócić nie ma władzy, choć mógł ją zatracić, z której to smutnej możliwości skorzystał), to przynajmniej formuły, modlitwy,

*) Modlitewnik kościoła anglikańskiego.

oznaki i myśli, które część jej stanowią. Jakieśmy to już poprzednio wyrazili, tu idzie o pojęcie Eucharystji, rzeczywistej obecności Chrystusa Pana na ołtarzu, transubstancjacji, ofiary.

Choć bardzo mglista jeszcze reforma ta jest przedstawioną przez najwyższe władze anglikańskie i przeszła już na zebraniu kościelnem, zanim miała być popotwierdzona przez parlament.

Niewierzący Barres oświadczył kiedyś, że siłą zakonnicy katolickiej to całkiem oczywiście Eucharystja. Okazuje się obecnie w Anglji, że siłą, która dusze angielskie porusza, to pragnienie Eucharystji.

W *Atlantydzie* Piotra Benoit, jeden z aktorów powieści, anglikański pastor Spardek, gorszy się, że można nie wierzyć w obecność Pana Jezusa w Eucharystji i cytuje stary Prayer Book na swą obronę. Ale nietylko tak było w modnym romansie. Wielu Anglików wierzyło w rzeczywiste kapłaństwo swych duszpasterzy i w ich moc konsekracyjną. Dziś stają się oni większością i, choć kapłaństwa tego wedle rzymskiej ekspertyzy niema, a więc niema i konsekracji, a jednak nowy Prayer Book wiarę tę bardziej jasno jeszcze chce określić. Stąd i wokoło tego — wszystkie polemiki.

Zdać by się komu mogło, że Anglja jest rzeczywiście, jak to piszą, archaicznym krajem, kiedy na meetingach i na łamach dzienników, dziś w XX wieku, publicznie polemizują o takiej abstrakcyjnej, zdawałoby się może nie jednemu, zawiłej w jego oczach i dla jego przyziemnych pragnień, zbytecznej, teologicznej kwestji. Tak mogło być przecie dawniej! powie ten światowiec, który ruchu świata nie widzi. Ostatecznie za Elżbiety! ale dziś?... Zdziwi się.

A właśnie tem, wykazuje Anglja swój dziwny instynkt żywotności, swój zmysł realizmu, bo w tem zagadnieniu kryje się cała głębia życia dawnego, dzisiejszego i po wsze czasy, aż do żywota wiecznego. Katolicy urządzają wszechnarodowe Kongresy Eucharystyczne — Anglja zaś Eucharystji szuka! I to znak czasu, znak obfitych czasów na żniwo.

Br. Kreuza.

Walka o szkołę katolicką.

Prawodawstwo a życie.—Poglądy p. Szczawińskiej. — Moralność „wyzwolona" w seminarjach nauczycielskich. — Przykład sowietów. — Polityka ministra Czerwińskiego. — Odebranie praw gimnazjum w Staniątkach.—„Ostrożnie i z cicha".—Środki obrony.— Wezwanie Ojca św.

W jednym z naszych poprzednich artykułów zaznaczyliśmy, że jeżeli chodzi o walkę z religją i Kościołem w Polsce, rzeczywistość polska wyprzedziła, niestety, znacznie wszelkie projekty prawodawcze; zdanie to potwierdził w ostatnich tygodniach cały szereg faktów, bijących wprost w oczy.

Mamy tu na myśli w pierwszym rzędzie nasze szkolnictwo. Zdawałoby się na pozór, że ustawy i instrukcje ministerjalne zapewniają na razie w tej dziedzinie minimum potrzeb katolickich. Jest to jednak złudzenie optyczne. Poza papierowemi przepisami ukrywa się zupełnie inna rzeczywistość.

Przejdźmy do faktów. Oto „Głos Lubelski" podał niedawno następującą wiadomość:

„W dniu 17 b.m. w Konopnicy pod Lublinem odbywała się konferencja rejonowa nauczycielstwa szkół powszechnych. W konferencji wziął również udział miejscowy proboszcz ks. Gintowt-Dziewałtowski i inspektor szkolny na powiat lubelski p. Kaczorowski. Z ramienia kuratorjum przybyła niejaka p. Szczawińska.

Po omówieniu spraw ściśle szkolnych i zawodowych przystąpiono do sprawy oświaty pozaszkolnej. I tu zdarzył się fakt, który odkrył oblicze polskich władz szkolnych. Oficjalna delegatka kuratorjum p. Szczawińska. wygłosiła na temat oświaty pozaszkolnej referat, który wśród obecnych wywołał ogólną konsternację. Uderzyła przedewszystkiem w popularne i znane na gruncie lubelszczyzny i całej Polski katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej. Walka z temi katolickiemi organizacjami młodzieży polskiej ma być jednym z najgłówniejszych czynów nauczycielstwa w krzewieniu oświaty pozaszkolnej.

Jako argument do zwalczania tych organizacyj oficjalna delegatka kuratorjum uważa to, że organizacje te znajdują się pod wpływem Kościoła Katolickiego, że młodzież prowadzi się w duchu katolickim, że młodzieży wciska się paciorki do ręki i zachęca do przystępowania do sakramentów św., że są to organizacje księżowskie i pańskie, że młodzież w Stowarzyszeniach prowadzi się osobno żeńską i osobno męską, że nad młodzieżą czuwają patronaty.

A konkluzją tych wywodów było: zakładać Koła Młodzieży Wiejskiej (znane ze swego radykalizmu) i zamiast książek do nabożeństwa, zamiast prasy katolickiej, dać młodzieży pismo „Wici" organ młodzieży prawie, że komunizującej".

W ten sposób p. Szczawińska wyjaśnia sobie przepisy ustaw i okólnik min. Bartla i tłumaczy je na język życia codziennego w Konopnicy pod Lublinem.

Zobaczymy teraz, co się dzieje w Warszawie w seminarjach nauczycielskich, z których mają wyjść przyszli nauczyciele i pedagodzy. Pisze o tem „Gazeta Warszawska" w № 251, podając następującą wiązankę faktów:

„Ciekawe to fakty i same za siebie mówiące. Między nimi na pierwszem miejscu stoją metody wychowawcze instytucii „Nasz dom”, która wychowuje w swej bursie młodzież seminarjów nauczycielskich warszawskich. „Nasz dom” stosuje ściśle wychowanie metodą głoszoną przez p. Orynga o „wychowaniu antyreligijnem”. Opiera się ono tam na ciągłem wiecowaniu, a w myśl tezy o wyzwolonej moralności tępi się w dzieciach instynkt wstydliwości (np. chłopiec i dziewczynka kąpane są w jednej wannie).

Propagowane są idee walki klasowej, cechy charakteru narodowego są starannie niwelowane...

Dbałość o wychowanie młodzieży, gotującej się do stanu nauczycielskiego, jest jak widać, zupełnie niedostateczna.

Natomiast wchodzi obecnie w modę wysyłanie dyrektorów szkół na przeszkolenie do Moskwy. Niedawno jeździła tam dyrektorka jednego z państwowych gimnazjów żeńskich. Po powrocie zaś wygłosiła „objektywny ” odczyt dla nauczycielstwa o szkolnictwie bolszewickiem.

Nie mniej ciekawą rzeczą jest, że referentem harcerstwa w ministerstwie W. R. i O. P. został p. Sieroszewski, ten sam, który oświadczył swego czasu publicznie, że wstydzi się takiego państwa, w którem komuniści są prześladowani.

Charakterystyczną jest też sprawa seminarjum nauczycielskiego w Radzyminie. Po usunięciu byłej dyrektorki, która prowadziła tę instytucję przez 10 lat, mianowano nauczycielkę szkoły ćwiczeń z kursów Spasowskiego. Kierowniczka ta odrazu otoczyła specjalnem protektoratem, zapoczątkowaną przez komunizującego nauczyciela Z. „jaczejkę szkolną” wśród uczenic w której propaguje się ideał kobiety, wyzwolonej z więzów ciasnej moralności „mieszczańskiej” i więzów rodzinnych.

Tenże nauczyciel Z wygłaszając odczyt w seminarjum na 11 listopada wykrzykiwał: „robią bohatera z księdza Skorupki, co to za jakiś ksiądz Skorupka, rodzima kanalja!” W innych okolicznościach wygłaszał p. Z. zdania z rodzaju: „Lenin to Chrystus”.

Nauczyciel ten był wprawdzie usunięty na żądanie rodziców, ale mememorjał, który przedłożył kuratorjum spowodował usunięcie długoletniej dyrektorki”.

To są wypadki z życia praktycznego, ktoś mógłby powiedzieć—odosobnione i ukryte przed oczyma władz wyższych. Niestety, takiemu poglądowi zaprzecza druga serja faktów. Okazuje się, że wyższe władze państwowe, a w pierwszym rzędzie mintsterstwo oświaty zainicjowało w ostatnich czasach kurs wyraźnie i zdecydowanie godzący w interesy religji i Kościoła.

Katolicka Agencja Prasowa w swoim komunikacie oświetla te posunięcia w sposób następujący:

„Od dłuższego już czasu jesteśmy świadkami wzmożonej akcji antykatolickiej ze strony pewnych organów władz państwowych. Dotychczasowa krecia robota przeciwko Kościołowi zaczyna przejawiać się coraz więcej i na zewnątrz.

Władze szkolne oficjalnie już prześladują szkolnictwo katolickie. Pozbawiając praw państwowych gimnazja PP. Benedyktynek w Przemyślu, PP. Urszulanek we Lwowie, SS. Boromeuszek w Jarosławiu, obniżając kategorję gimnazjum katolickiemu w Lublinie, przedstawiając w ujemnem świetle inne szkoły katolickie w państwie, dąży się systematycznie i celowo do zniszczenia szkolnictwa katolickiego. Nie zwraca się na to uwagi, że niszcząc te szkoły, zwłaszcza na kresach położone, niszczy się i samą polskość. Niektóre szkoły mają za sobą dziesiątki lat pracy wychowawczej, w ciężkich czasach zaborczych, będąc bastjonami kultury polskiej i katolickiej...

Aczkolwiek władze usiłują nadać zarządzeniom, zwracającym się swem ostrzem przeciwko Kościołowi, pozory prawne, to jednak jesteśmy w posia-

daniu dokumentów, które w sposób dowodowy stwierdzają jedyny motyw tych aktów: nienawiść sekciarską do Kościoła katolickiego.

Za władzami szkolnemi podąża nasza administracja państwowa. Nieprzyjazny stosunek do Kościoła wojewodów Białostockiego, Kirsta i Nowogródzkiego, Beczkowicza, znany jest nie od dzisiaj. Na ziemiach wschodnich, gdzie kościoły katolickie są niejednokrotnie jedynemi ogniskami kultury polskiej, gdyż nie wszędzie są szkoły polskie, tam Kościół katolicki spotyka się z największemi szykanami i utrudnieniami.

Gdy się to wszystko zestawi z faktem niewykonywania Konkordatu, to będziemy mieli prawdziwy obraz obecnego położenia Kościoła katolickiego w Polsce. Nie potrzeba dowodzić, na jak wielkie niebezpieczeństwa i szkody naraża się zarówno Kościół, jak i państwo, gdyby polityka pewnych osób, którym zależy na walce z Kościołem, miała się utrwalić".

Z tego zestawienia widać, że specjalnie pojętnym adeptem ...liberalnej teorji o szkolnictwie okazał się p. minister „Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego", Czerwiński. Szeroka opinja publiczna mało znała program i poglądy p. Czerwińskiego w chwili podpisania przez Prezydenta Rzeczypospolitej dekretu nominacyjnego na ministra. W kilka miesięcy później dowiedzieliśmy się na podstawie faktów, że nowy dygnitarz jest zwolennikiem odbierania praw państwowych szkołom zakonnym... Po PP. Benedyktynkach w Przemyślu, PP. Urszulankach we Lwowie, SS. Boromeuszkach w Jarosławiu przyszła kolej na szkołę PP. Benedyktynek w Staniątkach.

O zasłużonym tym zakładzie umieściliśmy niedawno w „Pro Christo" obszerny artykuł, podający historję jego założenia i w ogólnych zarysach 700-letniego istnienia. Staniątki bowiem, jako zakład i szkoła, jako ośrodek religji, kultury katolickiej i cichej mrówczej pracy jest instytucją znacznie starszą od Wszechnicy Jagiellońskiej, bodaj najstarszą w kraju. Jak donosi „Głos Lubelski": „w Polsce Odrodzonej kuratorjum krakowskie, widząc w staniąteckiej szkole znakomite warunki i organizację, postanowiło wytworzyć ze szkoły gimnazjum żeńskie specjalne, gdzieby uczennice, oprócz wiedzy szkół średnich, otrzymywały także wiedzę właściwą niewieścim obowiązkom w przyszłości". Zamiar został urzeczywistniony i kuratorjum było do tego stopnia zadowolone, że zamierzało właśnie nadać gimnazjum prawa kategorji A, gdy w tem zupełnie nieoczekiwanie, nadeszło rozrozporządzenie ministerstwa, odbierające prawa tej oryginalnej i jedynej w swoim rodzaju uczelni na ziemiach polskich...

W chwili obecnej program p. ministra Czerwińskiego jest już znany szerokiej opinji publicznej. To też nie ulega wątpliwości, że podczas zbliżającej się sesji budżetowej sejmu niejedno jeszcze o Ministerstwie Oświaty posłyszymy. Sądzimy zwłaszcza, że posłowie i senatorowie ugrupowań katolickich i do katolicyzmu zbliżonych postarają się przy sposobności wyjaśnić zawiłe arkana niektórych posunięć tego ministerstwa i czy to przy sposobności rozpatrywania jego budżetu, czy też przy okazji głosowania nad votum zaufania, czy nieufności...

ujawnić całkiem wyraźnie i zdecydowanie swoje stanowisko wobec kursu polityki wyznaniowo-oświatowej, który zainicjował p. minister Czerwiński.

Metody, wyżej ujawnionej walki z religją, charakteryzuje „Rzeczpospolita” w № 260, jak następuje:

„Ostrożnie i zcicha” — to znaczy: chyłkiem i krecią metodą — walka z Kościołem prowadzi się bez wytchnienia, gdzie tylko można i jak można. Ten tutaj, ówdzie inny... Ten lokalnie w tej dziedzinie tamten również lokalnie w innej... O ile zaś chodzi o całość państwa, zawsze się znajdzie sposób gry bodaj na zwłokę i we władzach centralnych, jeśli już czego przeforsować nie można, to można przynajmniej to czy tamto przewlekać — do czasu, zanim nie przyjdzie pora działania już zupełnie otwartego i bezwzględnego.

Jakie wyniki daje ta metoda, choćby tylko na przestrzeni paru tygodni, podaliśmy w numerze wczorajszym. Jest to zreszą cząstka tylko całości. Na terenie lwowskiego kuratorjum szkolnego ruguje się szkolnictwo katolickie krok po kroku. To samo zaczyna się już w kuratorjum lubelskiem, gdzie się to szkolnictwo upośledza. Z innych kuratorjów nie mamy jeszcze tak ciężkich zażaleń, ale chyba tylko widocznie dlatego, że tam nie stanęli jeszcze na czele „swoi ludzie”. W każdym razie w Warszawie bez żadnych przeszkód uprawiają swoją robotę „spasowiacy”...

To szkolnictwo. A administracja polityczna? Prawda — w woj. krakowskiem skarżył się słynny ze swojej afery z dzwonami w Choczni (no i ze swojej antykościelnej pracy na terenie Sejmu) pos. Putek, iż wicewojewoda całkowicie stanął po stronie „klerykalizmu” a przeciw niemu. Ale w woj. lubelskiem jeden siarosta (hrubieszowski) inspiruje ataki prasowe przeciw jednemu z wyższych dostojników kościelnych w lokalnem piśmie i dopiero z okazji procesu redakcja dla ratowania swej skóry musi tę brzydką rzecz zdekonspirować. Starosta zaś drugi (biłgorajski) od roku prowadzi walkę z proboszczem, któremu nie daje dostępu do plebanji, zajętej na szkołę. Rok temu interwenjował ks. Biskup lubelski u Wojewody — bez skutku. Przed pół rokiem w Ministerstwie Wyznań i Oświecenia — po to, aby po 6 miesiącach dowiedzieć się, że „sprawa jest dotąd jeszcze badana przez miejscowe odnośne władze administracyjne”, Potem zaś przychodzi skandal i „miejscowe odnośne władze administracyjne” wyłamują drzwi do proboszczowego mieszkania w nieobecności właściciela, rzeczy wyrzucają — i proboszcz zmuszony jest zamieszkać w sąsiedniej parafji, a ludność pozbawiona zostaje opieki duszpasterskiej. To dzieje się w jednem województwie, w dwóch zaś sąsiednich (poleskiem i nowogródzkiem) stosunek samych wojewodów do Kościoła jest już dostatecznie znany ze swej wrogości. Znów możnaby powiedzieć, że przecież w innych województwach dzieje się lepiej i skarg niema. Ale to właśnie..

W obecnej sytuacji naszej coraz bardziej panoszy się wszechwładztwo jednostek, z których każda czyni, co jej się podoba. Nieuznawanie prawa kontroli Sejmu nad Rządem przechodzi drogą hierarchji w powszechną zasadę nieuznawania żadnej odpowiedzialności”.

W takich warunkach obowiązkiem wszystkich katolików jest podjąć odpowiednie środki obrony. Nie wystarczy tutaj urabianie opinji publicznej za pomocą prasy, czy też protesty podejmowane na zgromadzeniach publicznych. Doświadczenie wykazuje, że tego rodzaju przejawy woli zbiorowej są często lekceważone przez niektórych dygnitarzy, bardzo zaufanych w trwałość swoich stanowisk i potęgę grupy, która dała im władzę.

Obrona nasza musi się oprzeć na podstawach pozytywnych. Katolicy w Polsce winni wreszcie uzyskać odpowiedni wpływ na rządy w kraju, należny im zarówno ze względu na ich liczbę, jak i zasługi wobec Ojczyzny. Dopóki wpływy masonerji i innych obcych agentur „kosmopolitycznych” będą przeważały — na nic nie zdadzą się protesty i artykuły dziennikarskie, chyba do uświadomienia sobie przykrej prawdy, że katolicki stan posiadania kurczy się i maleje w instytucjach życia państwowego.

Jeden zaś jest tylko sposób uzyskania należnych wpływów politycznych: trzeba zorganizować inteligencję pod sztandarami katolicyzmu społecznego i pchnąć ją do pracy pozytywnej wśród warstw ludowych. Jeżeli tego nie zrobimy w latach najbliższych — wrogowie religji i Kościoła, pasożytujący na ciemnocie i nieuświadomieniu katolickiego proletarjatu i korzystający z bierności i indyferentyzmu inteligencji katolickiej — będą święcić coraz większe triumfy.

Musimy podjąć ten wysiłek. Niech bodźcem dla nas będą słowa Ojca św., wygłoszone niedawno do polskiej pielgrzymki w Watykanie: — „...muszę ostrzec Was, jak ongiś Chrystus ostrzegał Apostołów, mówiąc do nich: „Czuwajcie i módlcie się”. Czuwajcie, gdyż grożą Wam niebezpieczeństwa i zasadzki podstępne. Wróg wszelkiego dobra, którego Chrystus Pan nazwał bramami piekielnemi, nie śpi, ale czuwa i działa wśród Was. Mam tu na myśli przedewszystkiem sektę masońską, która szerzy swe przewrotne zasady i zgubne wpływy również i w Polsce, usiłując w szczególny sposób zniszczyć Waszą świętą i cenną spuściznę duchową i religijną, która stanowi moc i chlubę Waszą. Dlatego też, powtarzam, czuwajcie, gdyż wróg nie śpi, a więc i Wam nie wolno zasypiać”... *S. J. K.*

Nadprodukcja inteligencji, czy pseudointeligencji?

Różne cudeńka dzieją się w tej naszej biednej, skołatanej ojczyźnie. W czasach inflacji byliśmy krajem miljonerów. Najmizerniejszy urzędniczyna otrzymywał pensje w cyfrach o astronomicznej wielkości. Zwykła wiejska kura znosiła codzień jajko wartości kilkuset tysięcy (naturalnie marek). Przyszedł Grabski i pożal się Boże, krocie okazały się groszami, miljonerzy nawet nie dziadami, lecz dziadakami.

Ostatecznie jednak ten „cios” można było przeboleć. Wiadomo, że co Polska, to nie Eldorado. Nasi poczciwi kmiot-

kowie zresztą odrazu sceptycznie się odnosili do tych miljonów i nazywali je pogardliwie „melonami” (jeden „melon", dwa „melony” i t. d.). Teraz jednak los zgotował nam sroższą niespodziankę. Domorośli filozofowie i statyści odkryli, ni mniej ni więcej, tylko nadprodukcję... inteligencji. Gdyby chamstwa, niktby się nie zdziwil, tego towaru nigdy i nigdzie nie brak, nawet na eksport. Ale inteligencji?

Gdzież ta inteligencja? Gdzież ten nadmiar?

Wyjdzie książka naukowa, oprócz autora i jego przyjaciół, którzy otrzymali egzemplarze darmowe, nikt jej nie czyta. Cały nakład leży na półkach księgarskich.

Odczytów wogóle oduczono się organizować. Nawet p. Starża-Dzierzbicki, Blok i s-ka uciekli, spakowawszy swoje duchy, medja i t. p. atrakcje.

Poważnym sztukom teatralnym przysłuchują się zazwyczaj (z urzędu) krzesła i recenzenci pism stołecznych. Na koncerty chodzą przeważnie żydy. Literatura i sztuka obniżyły swój lot podniebny. Wszędzie nadmiar miernot, brak talentów.

To samo w życiu społecznem. Rej wodzą w organizacjach półinteligenci, osobnicy bez wyższej kultury duchowej, służący nie idei, lecz własnej ambicji. Brak szerszej inicjatywy, brak odpowiednich ludzi.

W dziedzinie gospodarczej zastój. Elektryfikacje kraju mają przeprowadzić Niemcy i Amerykanie, gazyfikacje Francuzi i Belgowie. Bogactwa naturalne eksploatują cudzoziemcy. Dotychczas nie zdołaliśmy rozwiązać kwestji mieszkaniowej, znów pewno z pomocą będzie musiała przyjść zagranica, znów jakiś amerykański geszefciarz napcha sobie kieszenie.

Nie wolno nam wszystkiego składać na brak kapitałów. Gdybyśmy ekonomicznie byli bardziej zorganizowani, to przy tak bogato wyposażonym przez przyrodę kraju, jak Polska, z łatwością zdobylibyśmy potrzebne sumy na inwestycje. Francja bardziej była zniszczona przez wojnę, bardziej obdłużona, a jednak znów jest bankierem Europy. Cała kwestja sprowadza się do tego, że tam byli ludzie odpowiedni, a u nas ich niema.

Stagnacja, panująca w życiu intellektualnem i gospodarczem kraju jest objawem nie nadmiaru, lecz przerażającego

braku prawdziwej inteligencji. Nie jest nią bowiem ta pseudointeligencka hołota, elegancko ubrana, która zapełnia kina, kabarety, dancingi i t. d. Tego towaru rzeczywiście mamy poddostatkiem.

Modny krawat, czy krótko obcięte włosy to jeszcze nie dyplom na inteligencję. Przesylabizowanie nie świadczy już o dojrzałości umysłowej danego osobnika. W dawnych czasach, gdy czytanie było uważane za tajemniczą sztukę, trudną do opanowania, wystarczyło umieć czytać, aby zdobyć szacunek u rodaków. Strój nawet odróżniał ludzi oświeconych od pospólstwa. Dziś, gdy jest wprowadzone powszechne nauczanie, a woźny często z większym wdziękiem potrafi nosić garnitur, niż profesor uniwersytetu, inteligencja winna odróżniać się od motłochu ulicznego przedewszystkiem głębszą kulturą ducha i umysłu. Na niej ciąży obowiązek wniesienia nowych, ożywczych prądów w to morze chamstwa, które nas zalewa.

Walka o byt nie może zasłaniać szerszych horyzontów i ograniczać istnienie człowieka do bezmyślnej istoty, troszczącej się jedynie o stroje i pełny żłób. Inteligent winien czuć się rozumną cząstką wielkiej społeczności ludzkiej, dążącej ku światłości, wiedzy i postępu.

Wszyscy wprawdzie nie mogą być wielkimi uczonymi, lub wynalazcami, lecz każdy może interesować się zagadnieniami naukowemi, każdy może co pewien czas przeczytać poważniejszą książkę, lub wysłuchać pouczającego wykładu. Chodzi tutaj o przeciętny poziom sfery decydującej o typie ludzkiem i jego wartości.

Doprawdy czasby wyjść z tego gnuśnego nieróbstwa i marazmu. Za dużo mamy ludzi, których nic nie obchodzi i nie zajmuje. Żyją zdala od przybytków wiedzy, od ognisk pracy społecznej. Jak woły robocze chodzą w kieracie codziennego życia; za leniwi na to, by oderwać myśl od trosk przyziemnych, wznieść się ponad poziom brukowej gazety i choć przez chwilę poszybować myślą po tej drodze, po której kroczy ludzkość ku jaśniejszemu jutru poprzez poświęcenie i ofiary swych najlepszych synów. *Józef Lubicz.*

Walka.

I

Mózg się wysila na różne koncepcje,
By zadowolnić ludzką ciekawość,
Gmatwa się we wnioskach.
Recepcje
Coraz nowe.
By uczynić zadość.

II

Umysł ludzki bardzo jest ciekawy,
Choć rozwiązane ma już zadanie,
Nowego ciągle szuka
I obawy.
W bok odsuwa.
Wszystko jak było zostanie.

III

Nienasycony, znalazł drogę, bada,
Eksperyment wskazał mu wektory,
W tem, obawa!
Może nie wypada?
Nadzieją się krzepi,
Szuka do tej pory.

IV

Wreszcie zmęczony, swą myśl odsuwa,
Ustępuje po czasie niechętny,
Zostawia wszystko czasowi.
Wysnuwa się....
Jedna chwila!
I zwalcza chaos mętny.

Jerzy Zamulewicz.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Maus. Le XX siècle — siècle des Missions. AUCAM Louvain 8 rue des Récollets. — 1928.

Les Grands Problèmes Missionnaires. St. André. Lophem les Bruges. — 1928.

Obie broszury objaśniają nam papieski program pracy misyjnej, przedstawiając materjały i zadania apostolstwa misyjnego najnowszej doby. Idzie zew z Rzymu ku społeczności katolickiej, by zajęła się wykształconymi poganami na ziemiach pogan i studentami innych ras, którzy przebywają na razie w Europie i w Ameryce (St. Zj.)

Młodzież ta zaniesie do swoich pojęcia o wierze katolickiej. Dobrze, jeśli z pomocą łaski Bożej potrafi poznać i pokochać prawdy, nie widząc ich niestety w praktyce naszego nie — katolickiego, europejskiego życia... Mają nawiązać się stosunki kulturalne między obu inteligencjami — korespondencja, wymiana pism i różnych pomocy, niekoniecznie wpierw religijnych, chociaż ten cel musi tkwić w oku...

Drugi punkt nowoczesnej pracy misyjn. to ten, że pragniemy poznać sprawy mis. takiemi, jakiemi są, a nie wyłącznie przez pryzmat sensacji i sentymentu. Czas więc na studjum w 4 kierunkach — krajów, ludów, religji i języków. Kilka tysięcy lat przygotowywaliśmy się do tej idei, która wreszcie przebiła się przez trudności, nieśmiałość, aby decydująco wzmóc propagandę mis.

Rola katolika zmienia się z urzędu jałmużnika i ofiary modlitwy na powinność współpracownika. Myśl tę rozwija umiejętnie W O. Charles. S.J. w swej Encyklopedji Misyjnej, którą wydaje p. t. Les Dossiers de l'Action Missionnaire (8 rue des Récollets. Louvain). W dziale Oeuvres de Propagande pisze: Do modlitwy za misje trzeba dodać informacje o misjach. Miłosierdzie życzy ich sobie. La Charité désire être informée. Pragniemy wiedzieć dokładnie, na co służy nasza jałmużna, jak odpowiada (O. Ch. pisze czy — si) istotnej potrzebie, czy spodziewany jest skutek, jaki użytek przynosi pomoc, jaką dajemy. Jestto zmiana formy dawniejszej jałmużny. Koniecznością jest objaśniać obszernie i otwarcie publiczność chrześcijańską o przeznaczeniu jej darów. Dziś wszyscy cenią bilans, nawet wtenczas, gdy jest deficyt. Protestanci francuzcy posługują sie nawet tym deficytem, by pobudzać do składek. (Str. 2 nr. 103 — część 7). Rozumiemy więc, że chodzi wyraźnie o współudział, a nietylko o „jałmużnę odręki—pour se débarrasser d'un solliciteur insistant.—(O Charles) społeczeństwo, które, zyskując wgląd w sprawy, bez krępowania działalności misjonarza, (najistotniejsze jego zadanie i tak nie da ująć się w liczby!) zyska przekonanie, gdzie i jaka potrzebna jest jego stała pomoc.

Broszury wymienione podają gotowe materjały dla naszych dzienników. Pozatem pragniemy dodać, że Bulletin des Missions. St. André itd. wydaje co 2 miesiące luźne artykuły w tym duchu dla prasy katolickiej. Zwracamy na nie szczególną uwagę czytelników. **K. B.**

Ks. Mieszkis. (Czerski). Rewolucja. Warszawa Dom Książki Polskiej i autor: Mielnik nad Bugiem.

Studjum o Rosji bolszewickiej i refleksje na tem tle dla Polski. Oryginalne, silne, przekonywujące. Rzeczy takie winny dostawać się do pism codziennych: wstrząsnęłyby naszą przyziemną apatją, która gubi się w brudach materjalistycznych i nie pozwala realizować się idei. Tak nam ciężko do niej dobrnąć, a jednak między „dziś" a „wieki" jaknajkrótsza przestrzeń

i zapora jest bardzo leciutka. Autor kocha Polskę i w natchnieniu iście sawonarolskiem wypowiada swoje zamysły. Odnosimy wrażenie, że u steru prasy za mało jest ludzi typu ks. M., a jednak dała nam ich Opatrzność na to, by budowali nam mocną przyszłość, jako silny głos sumienia i konsekwentna ręka realizatora. Ks. M. uderza prawdą i leczy miłością i w tem jest jego nieprzeparta siła i — godność. Chociaż jako placówkę pracy przydzielono mu maleńką parafijkę nad Bugiem, to wpływ jego sięga nawet poza granice Polski. Jego „Wojna" tłomaczona jest na niemiecki i ma ukazać się w francuskim i angielskim. **K. B.**

Pułkownik Adolf Małyszko, „Walka gazowa" — nakładem Domu Prasy Katolickiej. Warszawa.

Bardzo na czasie broszurka. Temat tak mało dotychczas poruszany w prasie, doznał systematycznego i w miarę warunków gruntownego ujęcia. Autor w myśl swych szczerych intencji, pragnie obudzić w społeczeństwie zainteresowanie i zrozumienie w walce z gazami trującemi. Daje wykład naszych niedomagań na tem polu, kreśli jakiemi drogami winniśmy dążyć, aby zapobiedz klęsce w wojnie z gazami trującemi. Bogata w treść broszurka.

W pierwszej części autor zapoznaje nas z zastosowaniem gazów w czasie wojny, w drugiej zaś o zastosowaniu gazów trujących w czasie pokoju.

L. W.

Stanisław Żyżkowski (Eseżet). Kryształowe Kwiaty. Warszawa 1929.

Śliczne wydane wierszyki przez Stanisława Żyżkowskiego chwytają czytelnika za serce nietylko swym stylem, ale więcej jeszcze pociągającym i budującym tekstem. Są to rzeczy poświęcone Matce Przenajświętszej, Odkupicielowi Świata i Ojczyźnie. Każdego czytelnika umysł, po przeczytaniu tych utworów zwraca się ku wyżynom niebiańskim. Impresje, zawarte w tym tomiku są owocem kornej myśli, ulatującej w chwilach wzniesienia serca ku Bogu.—U każdego więc powinno znaleść się najnowsze wydanie Stanisława Żyżkowskiego p. t. Kryształowe Kwiaty. **L. W.**

Nakładem XX. Salezjanów ukazały się następujące książki:

Nowe czytania o Najświętszem Sercu Pana Jezusa. Napisał Ks. Alojzy Dyghera — tłum. Ks. A. Kotarski, Salezjanin.

Nowe to dziełko przyswojone polskiej literaturze ascetycznej będzie przychylnie przyjęte przez ludzi dobrej woli, kochających Boskie Serce Jezusowe, a nawet przez tych, którzy są obojętni albo nieświadomi swego celu. Jestto naprawdę cenna rzecz nadająca się nietylko na nabożeństwa czerwcowe, ale nawet do rozmyślań i nawiedzeń. Jestto książka związana z życiem czynnem i praktycznem, dostosowana do dzisiejszych czasów, gdzie nietylko potrzeba prowadzić życie duchowne takie codzienne bierne, ale bardziej czynne. Zasługuje jeszcze na wyróżnienie to, że jest ściśle i zwięźle napisana pod względem treści i myśli, a ujęta jest cała nauka doskonałości chrześcijańskiej w sposób bardzo subtelny.

Żywot Małgorzaty Bosko, nap. Ks. J. Lemoyne.

Nową perłą w literaturze biograficznej jest świeżo wydany Żywot Świątobliwej Małgorzaty Bosko. Świątobliwa ta niewiasta jest typem matki dwudziestego wieku, która wśród powodzi rozigranych zmysłów i niewiary potrafiła wychować po chrześcijańsku swe dzieci. Dusza ta pełna prostoty i cichego bohaterstwa powinna być świetlanym przykładem dla naszych matek. Jej życiorys powinien trafić do każdej katolickiej, a nawet niekatolickiej rodziny.

Pastuszek Alpejski.

Wiek dwudziesty to wiek „Małych Świętych".

Świętą też jest i dusza „Pastuszka Alpejskiego" którego życiorys skreślił błogosławiony Ks. Jan Bosko. Żywocik Franciszka Besucco winien trafić nietylko do zakładów naukowych, ale i pod strzechy do rąk dziatwy wiejskiej, wśród której być może niejedno rozbudzi powołanie i na ścieżkę świętości wprowadzi. **Kl. F. C.**

Perrin. Pauline Jaricot. 1799—1862 Gigord. Paris. 15 rue Cassette. 368 str. Mamy przed sobą życiorys założycielki Dzieła Rozkrzewienia Wiary, które dziś jest papieskiem i stanowi największą podporę misyj katolickich. Jak wszelkie wielkie sprawy, tak i Dz. RW. wzięło początek z ukrytego działania jednostki. Nie może być początku bez tego kogoś jednego! Grupy, jako takie, nie tworzą, lecz chyba rozbudowują, jeśli trwają w duchu założyciela. Na Paulinę padły dziwne krzyże życiowe. Czytajmy tę biografję, by rozumieć chwilowe własne dzieje. Pan Bóg zsyła krzyże? O, nie! Pan Bóg pozwala na złość ludzką wobec nas, bo nie można przypuścić, by jej chciał. To niemożliwe. Cierpiała więc Paulina od ludzi, którzy zawiedli jej zaufanie i na jej pracy zbudowali własne stanowisko, zacierąjac ślady po fundatorce. Oby Pan Bóg sprawił, że ludzie idei w Polsce znaleźli powierników dla przeprowadzenia zamiarów Bożych z nami! Idea nie może żyć bez realizatorów w większej grupie. Jednostki, istotnie bohaterskie, jak Paulina, niestety nie mogą być regułą dla Akcji Katolickiej, chociaż i to pewna, że potrzeba dziś cnoty ponad zwykłą miarę! skoro zwykła nie zmienia oblicza ziemi!.. **K. B.**

Guilcher. Un Ami des Noirs. Augustin Planque. Lyon. 150 Cours Gambette. Institut Missions Africaines. 12 fr. — 297 p. Z pod pióra znanego historyka swego Afrykańskiego Misyjnego Instytutu w Lugdunie, mieście pracowicie działającem dla misyj wogóle. wyszło dzieło o pierwszym przełożonym generalnym tejże instytucji. Ks. Planque był Belgijczykiem i przyjąwszy do duszy zamiary fundatora Ks. Brisillac, zmarłego prawie nagle na żółtą febrę w Afryce, uratował Zgromadzenie od upadku. Podniósł go silną, pewną, pracowitą dłonią, najcięższe, najprzykrzejsze prace zostawiając zawsze dla siebie, m. in. zbieranie jałmużn na utrzymanie domu, misjonarzy i w ostatnim czasie także na utrzymanie zakładu żeńskiego, które założył pod wezwaniem Królowej Apostołów, Wiemy od Czcig. Autora Biografji, że w zgromadzeniu Żeńskiem

są też Polki. Książki, jak powyższe, czyta się zawsze, jak najlepsze powieści. Mam wrażenie, że nasza literatura ogólna zyskałaby na wartości, gdyby nam dawała więcej życiorysów wybitnych jednostek, bo przez nie przemawia zawsze prawda, której nic nie pokona. **K. B.**

L'Idisto Katolika. Rerno per la linguo hepanta Ido. Miesięcznik Thaon — les — Vosges (Francja), Rocznie 10 fr.

Język międzynarodowy Ido, rywalizujący z Esperantem, a mający być ponoć znacznie od niego łatwiejszym, znalazł wielu sympatyków wśród katolików francuskich, którzy już trzynasty rok wydają miesięcznik „L'Idisto Katolika", będący organem oficjalnym. U. (niono) K. (atolik) I. (dista) (Katolickiej Unji Idystycznej). Aprobaty swej pismu temu udzielili biskupi diecezyj: Luxembourg i Bayeux, błogosławieństwa zaś biskup diecezji Saint-Dié. Miesięcznik przynosi zawsze na wstępie rozdział katechizmu, artykuły dogmatyczne, artykuły o życiu katolickiem, utwory literatury pięknej wierszem oraz prozą, wreszcie artykuliki o samem Ido. Redaktorem „L'Idisto Katolika" jest ks. kan. J. Guignon z Meaux, we Francji. On też jest tłumaczem tragedji „Esther". J. Racin'a na ów język międzynarodowy. Wogóle katolicka literatura idystyczna jest względnie obfita. „Biblioteka Katolik Idista" zawiera dwadzieścia siedem tomików, między innemi prace o Teresie Neumann z Konnersreuth oraz o prześladowaniu katolicyzmu w Meksyku. Płodnym pisarzem idystycznym jest też ks. prof. J. Houillon z Saint-Dié. Wobec takiego postępu Ida we Francji katolickiej dobrzeby było, ażeby zainteresowały się tym językiem także bodaj jednostki z pośród katolików polskich. **J. M. Ch.**

X. Mateusz Jeż. Wiadomość o Dziele Misyjnem Papieskiem św. Piotra Apostoła dla wychowania i wykształcenia duchowieństwa z pośród tubylców w krajach misyjnych pogańskich. Kraków, 1928. Nakładem Dzieła św. Piotra Apostoła. Str. 34.

Czem jest ta broszurka, jaką zawiera w sobie treść, mówi dostatecznie barokowy jej tytuł. Właściwą autorką tej pracy jest zmarła przed dwoma blisko laty Stanisława Muśnicka, gorliwa propagatorka tego dzieła papieskiego. Przez przeoczenie zapewne zecerni na karcie tytułowej przed nazwiskiem rzekomego autora nie dodano słówka: „wydał". Bądź co bądź zmarłej działaczce, osobie niepowszedniej świętobliwości (ponoć zbiera ktoś materjały do jej żywotu), dzieje się krzywda. Po śmierci możnaby już chyba było pisać na jej pracach pełne nazwisko. Artykuł nieboszczki jeszcze za jej życia drukowany był w „Kalendarzu „Róż św. Teresy" od Dzieciątka-Jezus na rok Pański 1928, poświęconym czci św. Teresy od Dzieciątka-Jezus", wydanym w Krakowie w 1927 r. pod redakcją ks. Mateusza Jeża. Stamtąd został przedrukowany dosłownie po drobnej zmianie w jednej tabelce statystycznej. Podpis autorki: „S. M." w kalendarzu w broszurze przekształcił się na „M. S.". Zawiniła tu snać korekta, która na przyszłość powinna być lepsza.

Jako drobiazg propagandowy, książeczka posiada swą wartość, dzięki czemu polecić ją należy przyjaciołom misyj. **J. M. Ch.**

Kalendarz św. Piotra Klawera.

Wszystkim Przyjaciołom Misyj polecamy gorąco wyszły z druku Kalendarz św. Piotra Klawera i Kalendarzyk Misyjny dla dzieci i młodzieży na rok 1930—w cenie: 1 zł. za kalendarz, 20 groszy za kalendarzyk.

Kalendarz ten, bogato ilustrowany, zawiera wiele ciekawych wiadomości i opowiadań z afrykańskich Misyj, wyjętych w większej części z listów Misjonarzy i Sióstr Misyjnych, pracujących w Afryce nad zbawieniem murzynów. Piękny obraz św. Augustyna, Doktora Kościoła, stanowi—z okazji 1500 letniego jubileuszu tego wielkiego afrykańskiego świętego — dodatek do kalendarza.

Pośpieszmy go nabyć we Filjach Sodalicji Klawerjańskiej: Warszawa, ul. Warecka 10 m. 5. — Kraków, ul. św. Marka 25. -- Poznań, ul. R. Szymańskiego 6. — Wilno, ul. Zamkowa 19.

„Przyjaciel Młodzieży" № 10 — październikowy zajmuje się następującemi zagadnieniami:

Przygotowania na „Święto Młodzieży", projekt konkursów przysposobienia rolniczego w 1930 r., kursy rolnicze im. Stanisława Staszica oraz szereg wiadomości technicznych z dziedziny uprawy kukurydzy, lustracje konkursów itd. W artykule p. t.: „Cudze jabłka" omawiane jest poszanowanie cudzej własności dojrzewającej w naszych sadach w jesiennych miesiącach. W dziale wychowania fizycznego otrzymają czytelnicy wiadomości z zawodów międzyzwiązkowych Poznań — Śląsk oraz bieżącą kronikę sportową. Szereg artykułów poświęconych jest kwestjom wychowawczym, religijnym i misyjnym. Kilka wierszy nadesłanych przez czytelników oraz obszerny dział informacyj organizacyjnych zamieszczonych w dziale p. t.: „Kącik dla naszych druhów". Numer ozdobiony licznemi kliszami z życia Stowarzyszeń oraz aktualności

Przedpłata kwartalna „Przyjaciela Młodzieży" wynosi 60 gr. Zamówienia przyjmuje Sp. Akc. „OSTOJA", Poznań, — Pocztowa 15. P. K. O. 202,768.

„Młoda Polka" nr. 8. Miesięcznik dla żeńskich Stowarzyszeń w artykule wstępnym nawiązując do „Cudu nad Wisłą" omawia „Ideał miłości ojczyzny" i podaje wspomnienie o bohaterskiej śmierci ks. Skorupki. W „Legendzie" i „Najobfitszem źródle" poruszono tematy religijne. Wśród spraw aktualnych prym dzierżą wrażenia z P.W.K., szczególnie opisy Pawilonu Ziemianek i Włościanek i Hut Szkła, bogato ilustrowane. Życie, praca, ruch w Stowarzyszeniach zajęły dużo miejsca. Również „Piękno ziemi ojczystej" zobrazowane szeregiem pięknych rycin, znalazło pomieszczenie. W dziale rozrywek „Korowód: Lato, lato" zaopatrzony w nuty i nowoczesne objaśnienia, nadaje się do produkcji na wycieczkach. Z zajęć praktycznych omówiono zdobnictwo mieszkań i uprawę kukurydzy oraz groźne choroby wyniszczające tę roślinę.

Przedpłata kwartalna „Młodej Polki" wynosi zaledwie 60 gr. Zamówienia przyjmuje Sp. Akc. „Ostoja", Poznań ul. Pocztowa 15. P.K O. 202.768.